



***VIRGINIA HART***



***Dwie siostry***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Melissa zajrzała do wnętrza herbaciarni w domu towarowym Hammonda, a nie znalazłszy tam siostry odruchowo skierowała się w głąb korytarza. Arlene stała w pobliżu windy dla pracowników i dawała jej gwałtowne znaki ręką.

- Cóż to takiego, co nie może poczekać do wieczora? - zapytała Melissa z nutką zniecierpliwienia, zbliżając się do ubranej w kelnerski fartuszek Arlene. - Mam ważne spotkanie u szefa, na które nie mogę się spóźnić.

Jej młodsza siostra nie słuchała. Spoglądała w kierunku lokalu, gdzie wszystko promieniowało spokojem, estetyką i komfortem. Z wiszących na ozdobnych sznurach pojemników spływały zielonymi kaskadami bluszcze i winorośle, a z otwartego pyszcza rzeźbionej w marmurze ryby-fontanny wytryskał szemrzący wodny pióropusz. Klimatyzacja działała bez zarzutu. Bładozielone papużki w białych klatkach gaworzyły między sobą i spierały się, dostarczając rozrywki gościom. Ale Arlene, która pracowała w tym popularnym w Albany lokalu, zdawała się nie dostrzegać tej spokojnej przystani dla zmęczonych popołudniowymi zakupami klientów. Kierowała wzrok w jeden określony punkt.

- Spójrz - powiedziała. - Tam, na nią.

- Na kogo?

Oczy Melissy pobiegły we wskazanym kierunku i spoczęły na siedzącej pod oknem atrakcyjnej trzydziestokilkuletniej kobiecie, która ostrożnie zabierała się do swojej sałaty, jak gdyby z obawą, że pod zielonym liściem znajdzie ślimaka lub dżdżownicę.

- Oczywiście na panią Kerr.

- Chyba nie ściągnęłaś mnie tutaj jedynie po to, by mi ją pokazać?

- Czyż nie jest piękna?

- Niech będzie sobie pierwszą piękną Hollywoodu. - Melissa nacisnęła guzik windy. - Nie apróbuję ani jej samej, ani jej propozycji zatrudnienia ciebie. Nasi rodzice też by się nie zgodzili.

- Tu nie chodzi o zwykłą posadę. Raczej o coś w rodzaju wakacji bez kosztów, i na dodatek z pensją. Pomyśl o tym. Jeśli dostanę się do tego telewizyjnego widowiska, ty pierwsza będziesz się cieszyć.

- Śmiem wątpić w twoje szanse. A poza tym, przypominam, miałyśmy spędzić urlop w Bostonie.

- Boston! Znam tam wszystko, co warte obejrzenia.

- Zdaje się, że zapomniałaś o pewnym istotnym szczególe. Że mieszka tam nasza babcia.

- Przecież możemy odwiedzić ją w któryś dowolnie wybrany weekend. To nam w zupełności wystarczy.

Melissa ściągnęła brwi.

- Mów, proszę, tylko za siebie. A swoją drogą, po kiego licha ta Kerr chce, abys odgrywała rolę jej córki? Im dłużej p tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to niesmaczne.

- Niesmaczne? - Arlene zmarszczyła nosek. - Mówisz o jej ofercie jak o misce duszonej baraniny z cebulą.

- Bo kto wie, z czym tam byłabyś uduszona, gdybym zgodziła się na tę eskapadę. - Rozległ się dzwonek i drzwi windy rozsunęły się. - Czy już skończyłaś pracę?

- Dzisiaj pracuję tylko w połowie zwykłego wymiaru godzin.

- Więc wracaj do domu i nie zapomnij kupić po drodze kawy.

- Kawy! - prychnęła Arlene.

- Tak, kawy. Przecież nikt inny, tylko moja siostrzyczka nie potrafi wyobrazić sobie bez niej śniadania. - Melissa spojrzała na zegarek. - Na mnie już czas. Mój szef, pan Lowell, właśnie ma zamiar przedyskutować dziś sposoby ukrócenia nawyku spóźniania się pracowników.

Kiedy na parterze wysiadły z windy, Arlene dotknęła ramienia siostry.

- Nie pędź tak, Missy. Muszę ci coś wytłumaczyć. Coś, co pozwoli ci zrozumieć, jak różne jesteśmy. Chociażby twoje oczy...

- Czego chcesz od moich oczu?

- Są błyszczące i zielone, jak oczy naszej babki-Szkotki.

Odziedziczyłaś też po niej drobną budowę ciała. I wcale nie musisz

poddawać się rygorowi sucharów i chudego mleka, by zachować figurę.

- Domyślam się, że mój opis nie jest tu przypadkowy.

- Ja, przeciwnie, mam oczy w kolorze nieba, jak nasz wiecznie przystojny i pełen młodzieńczej werwy tatuś. Jestem wyższa od ciebie o pół głowy, a moja figura posiada zbyt wiele wypukłości, by można było nazwać ją szczupłą. Muszę jednak dodać, że każda z tych wypukłości jest na właściwym miejscu.

- Zapomniałaś dodać, że skromność jest dominującą cechą twojego charakteru.

- Akceptuję swój wygląd - odparła Arlene. - Czy nie powinnam?

- Nie powinnaś przede wszystkim zabierać mi czasu na próżne pogaduszki.

- Ależ to bardzo ważne. Rysujesz i malujesz jak...

- Jak Rembrandt?

- Powiedzmy. Ja jestem malarskim antytalentem. Ale za to potrafię grać na fortepianie, gdy ty masz problemy z wystukaniem najprostszej melodii.

Melissa zacisnęła zęby.

- Ostrzegam cię, że tracę cierpliwość...

- Wszystko, co chcę powiedzieć, kochanie, to to, że jestem już dorosła. Zdolna do podejmowania decyzji na własny rachunek. Ty i ja jesteśmy różnymi istotami. Zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym. Coś, co tobie podoba się, mnie może brzydzić, i vice versa. Co byłoby złe dla ciebie...

- Byłoby złe również dla ciebie. - Wypadły przez drzwi obrotowe na ulicę. - O szczegółach porozmawiamy później.

Na szczęście towarzystwo ubezpieczeniowe, w którym pracowała Melissa, mieściło się w sąsiednim budynku, gdyby więc pośpieszyła się, mogła jeszcze zająć miejsce w pokoju konferencyjnym przed innymi uczestnikami zebrania.

- Nie ma już o czym rozmawiać - usłyszała głos siostry. - Byłabym niewdzięcznicą, gdybym nie doceniła tego wszystkiego, co dla mnie uczyniłaś. Gdybyś cztery lata temu nie przejęła wobec mnie

obowiązków matki, musiałabym pojechać z rodzicami do tej przeklętej Arabii Saudyjskiej, gdzie ojciec podjął pracę i gdzie żadna kobieta nie może ruszyć się z domu bez eskorty. Pragnę wyrazić ci moją wdzięczność, Missy. Ale tym razem...

- Co tym razem? Arlene zatrzymała się.

- Powiedziałam już pani Kerr, że przyjmuję jej ofertę. Zarobię przez jedno lato więcej, niż zaoszczędziłabym tutaj przez cały rok. Będziemy mogły wybrać się do Grecji wcześniej, niż to planowałyśmy. Ty masz już odłożoną swoją działkę.

- Ty też miałabyś, gdybyś nie kupiła tego nieprzyzwoicie drogiego zestawu stereofonicznego.

- Gdybym, gdybym, gdybym... Gdybyśmy miały skrzydła, poleciałybyśmy na nich do Grecji, oszczędzając na biletach lotniczych. Cześć.

Rozstały się. Melissa przyśpieszyła kroku.

Kiedy po kilku minutach wślizgnęła się do pokoju konferencyjnego, głowy siedzących przy dużym stole osób zgodnym ruchem odwróciły się ku niej. Pan Lowell przerwał w pół słowa, odchrząknął i zrobił kwaśną minę.

- Panno Brandon, poruszamy właśnie kwestię spóźnień naszych pracowników. Rzecz przybiera rozmiary epidemii, szczególnie w przerwach na lunch, nie mówiąc już o przedłużających się ponad zwykłą miarę wizytach w toaletach.

Melissa kiwnęła głową, zajęła miejsce i sięgnęła po notes i pióro.

- Chciałbym przypomnieć państwu słowa naszego wielkiego poety Henry'ego Wadswortha Longfellowa.

Pan Lowell sięgnął po leżącą przed nim kartkę papieru i przeczytał z emfazą godną sir Laurence'a Oliviera w szekspirowskiej roli:

Wielkość swą wielcy osiągają Nie przez gwałtowny zryw czy lot,  
Lecz tym, że gdy ich bliźni śpią, Mozolą się przez całą noc.

Zaczęła się ogólna dyskusja. Ktoś z wydziału nieruchomości wystąpił z wnioskiem, aby system nagród i kar bardziej odpowiadał zasługom i winom. Dwaj agenci ubezpieczeniowi, którzy siedzieli w

poblizu Melissy, przez cały czas nieprzyzwoicie chichotali, rzucając szeptem różne zabawne projekty wyróżnień. Ktoś inny ogólnie zakonkludował, że sprawa jest trudna.

Melissa prawie nie słuchała. Myślała o siostrze i o tym nowym kłopotcie, jaki Arlene sobie szykowała. O piątej, wraz z końcem zebrania, wybiegła na korytarz z głową przepełnioną słowami i argumentami, które miała zamiar z siebie wyrzucić, gdy przekroczy próg domu.

- Panno Brandon - usłyszała wymówione męskim głosem swoje nazwisko.

- Tak?

Była pewna, że zapamiętałaby tego młodego mężczyznę, gdyby choć raz go przedtem widziała. Był wysokiego wzrostu, miał ciemnoblonde włosy z jaśniejszymi pasmami i ujmująco się uśmiechał.

- Natalie Kerr prosiła mnie, bym z panią porozmawiał.

Aha! Więc to tak. Po tym, jak się rozstały, Arlene musiała popędzić prosto do pani Kerr i donieść tej kobiecie, że okropna starsza siostra, Melissa, odrzuca jej podejrzaną propozycję.

- Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu - odparła energicznym głosem - to chciałabym, ażeby to, co ma zostać powiedziane, powiedziane zostało w drodze na parking. Mam za sobą długi i pracowity dzień.

- Ależ oczywiście.

Zauważyła, że jego beżowa sportowa marynarka nie należała do najtańszych i była specjalnie tak uszyta, by złagodzić dysproporcję między szerokimi ramionami a szczupłą sylwetką. Jego brązowe oczy patrzyły ciepło, zaś twarz, cóż... Kto posiadał taką twarz, mógł śmiało brać udział we wszelkich negocjacjach i z dobrym skutkiem namawiać innych do zrobienia czegoś.

- Nazywam się Brian Hendricks - przedstawił się, kiedy wyszli z budynku. Następnie wyciągnął rękę z uśmiechem, który z pewnością skruszyłby dużo większy opór niż jej. Na koniec spojrział w rozżarzone do białości niebo. - Lubię mieć nad sobą słońce, kiedy



pracuję na świeżym powietrzu. Lecz kiedy wbity jestem w marynarkę i chcę wyrzucić jak najlepsze wrażenie na ładnej dziewczynie, wówczas wolałbym oglądać taki dzień przez okno klimatyzowanego wnętrza.

Melissa westchnęła. Z nieba faktycznie lał się żar niczym na pustyni. Poza tym, jeśli pod jakimś pretekstem wywinie się od tej rozmowy, pan Hendricks będzie jeszcze gotów sobie pochlebiać, że przelękała się go.

- Myślę, że na kilka minut moglibyśmy ostatecznie schronić się do jakiegoś lokalu.

- Będę wdzięczny za każdą oazę.

- Dlaczego pani Kerr nie przyszła sama? - zapytała Melissa, kiedy weszli do niewielkiego bistro i zamówili kawę.

- Miała umówione ważne spotkanie. Ale mogę wyjaśnić każdy szczegół związany z jej planami.

Jasne, że możesz, pomyślała Melissa. Sądzisz też zapewne, że gładkim słówkiem namówisz mnie do zgody.

- Ma pani niezwykłą siostrę - kontynuował. - A niezwykłość tę widzę w tym przede wszystkim, że mając dziewiętnaście lat szuka pani zgody.

- Dziewiętnaście czy dziewięćdziesiąt dziewięć, jest ciągle moją siostrą.

- Rozumiem. Ja też mam siostrę i jest nią pani Kerr. Nie ma nic niegodnego ani też zbrodniczego w jej planach. Chodzi o prostą kwestię. Moja siostra jest dumną, może nadmiernie dumną kobietą.

- Nie rozumiem.

- Urodziliśmy się, ona i ja, w Sandgate, takiej sobie przeciętnej miejscinie w Connecticut. I otóż to Sandgate jest załączkiem całej tej historii. Jak w większości małych miasteczek, każdy w Sandgate wie, co robi jego sąsiad. Tam domy jakby nie mają ścian i każda prywatność zlewa się z życiem wspólnoty.

- No dobrze, ale w jakim sensie dotyczy to Arlene?

- Kiedy miałem sześć lat, moi rodzice zdecydowali, że nie mogą żyć dłużej wspólnie pod jednym dachem. Nie mogli, oczywiście,

pozostać w Sandgate i narażać się na całą jadowitość plotki, która nie oszczędzała tam rozwiedzionych małżeństw. Przenieśliśmy się więc do Albany.

Melissa spojrzała na zegarek.

- Nie chciałam być niegrzeczna, ale...

- Proszę o chwilę cierpliwości. Natalie jest starsza ode mnie i ta przeprowadzka zbiegła się dla niej z utratą narzeczonego.

Faktycznie zaś moja siostra porzucona została w sposób, który można uznać za dość okrutny. Jej narzeczony zdecydował się poślubić osobę bardziej odpowiadającą jego statusowi majątkowemu i społecznemu. Nie należeliśmy do rodzin zamożnych. Nasz ojciec pracował jako sprzedawca w sklepie.

- Ciągłe nie rozumiem...

- Chcąc zachować pozory, zbyt dumna na to, by przyjmować dowody litości, Natalie zaczęła wysyłać stąd do przyjaciół w Sandgate regularną korespondencję, w której opisywała swoje ekscytujące życie w wielkim mieście. W którymś z kolejnych listów wspomniała o zaręczynach, a później o małżeństwie z dobrze sytuowanym, starszym od niej mężczyzną, który pokochał ją nad życie i obsypywał podarunkami, od których każda młoda kobieta może dostać zawrotu głowy. Wreszcie doniosła o narodzinach córki, Jean. Dziecko okazało się utalentowane. Tańczyło, śpiewało i grało na fortepianie niczym prawdziwy anioł, o ile aniołowie uprawiają jakieś dziedziny sztuki.

- A faktycznie nie było ani męża - Melissa zdecydowała się przyspieszyć nieuchronną konkluzję - ani też córki.

- Faktycznie wszystko było proste i piękne, ale tylko do momentu, gdy...

- Gdy...?

- Nat odkryła, że zwariowany na jej punkcie mąż ma kochankę, a właściwie dwie kochanki. Jedną w Syrakuzach, a drugą w Bostonie. Mimo związanego z tym odkryciem i rozwodem szoku, nie upadła na duchu. Ale Jean, która do ukończenia szesnastu lat była nieśmiałą, potulną dziewczynką, nagle doszła do wniosku, że jej życie jest puste



i beznadziejne. Obwiniła o wszystko matkę i uciekła do ojca.

- Dziewczyny w jej wieku często wybierają ojców. Po jakimś czasie przychodzi chwila otrzeźwienia i wracają do matek.

- Nie stanie się to jednak w tym czasie.

- To znaczy, w jakim, jeśli wolno wiedzieć? Melissa zapomniała o upływających minutach. Było coś wzruszającego w fakcie, że młody mężczyzna, któremu z pewnością nie brakowało własnych problemów, potrafi do tego stopnia zaangażować się w kłopoty" siostry.

Zapewne wyczuł zmianę w jej nastawieniu, gdyż wyraźnie odprężył się. Jego ciepły uśmiech bardzo pasowałby do sytuacji, w której on i Melissa są bliskimi przyjaciółmi i oto przywołują w rozmowie wspólne wspomnienia. Niemal zapragnęła czegoś takiego. Już wiedziała, że Brian podoba się jej.

- Sandgate w tym miesiącu świętuje dwusetną rocznicę powstania. Ma być wielka gala z mnóstwem uroczystości i imprez. Przez okrągły tydzień każdej nocy zabawy, przedstawienia, sztuczne ognie, wystawne przyjęcia... Resztę proszę sobie wyobrazić. Zanim wybuchła ta sprawa z jej mężem, Nat przyjmowała ochoczo wszystkie zaproszenia, jakie do niej nadchodziły. Chciała pokazać miastu, jak łaskawie życie ją potraktowało. A tu nagle klops, scena odwróciła się o sto...

Melissa nie przerywała mu, jakkolwiek mogła wyobrazić sobie inne rozwiązania tej historii. Kobieta, która nie miała skrupułów, by za pieniądze wynająć sobie przyszywaną córkę, łatwo też by wymyśliła atak żółtej febry lub przynajmniej wietrznej ospy.

Odbicie tych myśli musiało chyba pojawić się na jej twarzy, gdyż Brian przerwał w pół zdania. Uśmiechnął się ze smutkiem w oczach.

- Nieobecność małżonka w takiej historycznej chwili można ostatecznie wytłumaczyć tym, że poluje na wszechmocnego dolara, za którym wszyscy zaciekle się uganiają. Ale jak usprawiedliwić nieobecność córki? Raz zrodzone podejrzenia mogłyby w końcu podmyć fundamenty tego misternie zbudowanego w listach zamku z bajki. Notabene Nat zdobyła sobie w młodości opinię osóbki, która

lubiła przesadzać. Uznała więc, że to sam Bóg zawiódł ją do domu towarowego Hammonda i pokazał jej Arlene.

- Czy Arlene tak bardzo przypomina pana siostrzenicę?

- Nie zwiodłaby nikogo, kto poznał Jean osobiście. Lecz podobieństwo jest dostatecznie bliskie, by zamącić w głowie komuś, kto zna Jean tylko ze zdjęć. Arlene ma wiele wdzięku i nie zbywa jej na urodzie. I dodatkowa zaleta: potrafi grać na fortepianie.

- Tak, jest bardzo utalentowana muzycznie.

- A zatem obdarzy ją pani swoim błogosławieństwem na tę misję miłosierdzia?

Melissa przejechała opuszką palca po krawędzi filiżanki.

- Tego nie powiedziałam. Nie podoba mi się pomysł wpłatywania mej siostry w gigantyczne kłamstwo.

- Czy Julie Andrews kłamała, kiedy grała rolę Mary Poppins? Czy Elizabeth Taylor oszukiwała widzów, kiedy dawała się poznać jako Kleopatra?

- Zadziwia mnie pan, panie Hendricks.

- Mam nadzieję.

Melissa zwykła unikać zbyt pochopnych ocen. Jednak z jakiegoś powodu ufała mu. Na pewno nie wpłynął na to jego miły wygląd. Kuba Rozpruwacz też mógł mieć sympatyczną twarz. Nie, być może zadziałała tu otwartość, z jaką spoglądał w jej oczy. A także brak jakiegokolwiek pozy w jego sposobie bycia.

Rozmowa przeciągnęła się poza pierwotnie wyznaczone ramy. W domu powitał Melissę smakowity zapach rybnej zupy. Na nieskazitelnie białym obrusie rozłożone już były talerze i srebrne sztuce. W tle słychać było subtelne frazy muzyki Debussy'ego. Arlene czyniła ostatnie przygotowania do obiadu z tajemniczym uśmiechem kota z Cheshire..

- Czy spotkałaś pana Hendricksa?

- Tak.

- A zatem jadę.

- Powiedzmy, że jest to zdanie tylko w połowie prawdziwe. -  
Melissa rzuciła się na ulubioną potrawę.

- My jedziemy.

- Co rozumiesz przez „my”?

- Ciebie i mnie. To warunek. Radzę go przyjąć. Arlene otwartą dłonią pacnęła się w czoło.

- Ależ to fantastyczny pomysł! Będzie tam mnóstwo przystojnych mężczyzn. Kto wie? Może poznasz kogoś.

- Kogoś?

- Wiesz, o czym mówię. Odkąd rodzice wyjechali, nigdzie się nie wypuszczałaś. Uznałaś, że pierwszą sprawą jest pilnowanie młodszej siostrzyczki.

- Nie pleć bzdur.

- Twoje życie towarzyskie całkowicie zwiędło i ja ponoszę za to winę. - Arlene zamknęła oczy i jakby w transie jasnovidzenia uniosła dłonie ku skroniom.

- Widzę cię u boku mężczyzny. Jest wysoki, ciemnowłosy i bardzo przystojny.

Melissa roześmiała się.

- Gotowa jestem zadowolić się dwoma z tych trzech atrybutów. Poznałam już kogoś wysokiego i przystojnego.

- Briana Hendricksa, czy tak? A więc to dla niego dołączasz do zabawy?

- Mam zamiar, siostrzyczko, strzec cię jak oka w głowie.

- Wierzę ci - mruknęła Arlene, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Chcę być tam na wypadek, gdybyś w pewnej chwili potrzebowała mnie.

- Oczywiście.

- Nie wyobrażaj sobie, że...

Nagle Melissa zmieniła zamiar. Niech Arlene myśli sobie, co jej się tylko podoba. Nie będzie przekonywała jej, że bynajmniej nie dla pięknych oczu Briana wyjeżdża do Sandgate. Najważniejsze, że jeśli pani Kerr powinie się noga, Arlene nie będzie sama wśród wrogich, obcych ludzi.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Stojący na łagodnej pochyłości biały dom w kształcie sześcianu miał skrzypiące schodki, które wiodły na lekko pochylony ganek. Ściany rozległego holu pomalowane były na szaro. Utrzymany w tym samym kolorze sufit przecinały nierówno ociosane belki. Na wyszorowanych do czysta deskach podłogi leżały tu i ówdzie lichutkie dywaniki, wprowadzając bardziej domową atmosferę do tego surowego wnętrza.

Dwa cudowne okna z małymi szybkami, po obu stronach nabijanych metalowymi guzami drzwi, równoważyły mrok, który mógł zalegać w innych pomieszczeniach. Sięgały niemal do sufitu i od wewnątrz tworzyły coś w rodzaju wykuszy, w których stały ławy, dostatecznie szerokie i długie, by jedna osoba mogła się na nich położyć i zdrzemnąć. Na przykład osoba zmęczona podróżą, jak Melissa w tej chwili.

Po przeciwnej stronie znajdował się kamienny kominek. Wisiały tam stare narzędzia z kutego żelaza, takie jak czerpak do popiołu czy ogromny pogrzebacz, i oczekiwały na rękę, która zrobi z nich użytek. Z sufitu majestatycznie zwisał misternie powyginany żeliwny świecznik, zaś na bocznych stolikach i przysadzistych skrzyniach stały lampy naftowe. Melissa, oczywiście, nie potrafiła w tej chwili rozstrzygnąć, czy właściciel był romantykiem i wolał naturalne światło, czy też raczej okolica ta nawiedzana była przez częste sztormy, które powodowały awarie elektryczności.

Zdecydowała się pojechać do Sandgate własnym samochodem, na wypadek gdyby ona i Arlene musiały wracać do Albany, zanim Natalie będzie gotowa lub chętna do powrotu. Tak więc wybrali się dwoma samochodami: Natalie z Arlene, by mogły w drodze doszlifować swoje role, oraz Melissa z Brianem, który pod pretekstem odwiedzenia znajomych wysiadł na głównej ulicy swego rodzinnego miasteczka. W rezultacie Melissa przybyła na miejsce długo po swojej siostrze i jej fikcyjnej matce.

Natalie zdążyła się już przebrać w długie jedwabne kimono, które podkreślało jej szczupłą i nadal młodzieńczą figurę. Włosy miała zebrane na karku. Była kobietą uderzająco piękną, lecz z wyjątkiem głęboko osadzonych brązowych oczu żadne inne podobieństwo nie łączyło jej z bratem. Jej duma i świadomość własnej urody dorównywały jego prostocie i otwartości.

- Wyglądasz na zmęczoną, moja droga - zwróciła się do Melissy. - Zaprowadzę cię do twego pokoju.

Wynikało stąd jednoznacznie, że nie będzie dzieliła sypialni z siostrą.

- Gdzie jest Arlene? - zapytała, gdy wstąpiły na schody.

Pani Kerr zatrzymała się z ręką na poręczy i przez chwilę teatralnie milczała.

- Panno Brandon, Melisso, mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie o żadne uprzedzenia do ciebie. Szczerze cieszymy się, że jesteś tu z nami. Ale muszę prosić cię, abyś pamiętała, że w Sandgate twoja siostra nie jest twoją siostrą i nie nazywa się Arlene. Ma na imię Jean.

- Nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie w przypadku, gdy jesteśmy same.

- Jedno lekkomyślne słówko w nieodpowiednim momencie może obrócić moje plany wniwecz. Czas przyzwyczać się do nowego imienia.

Pani Kerr ma rację, przyznała w duchu Melissa. Nie było rady, musiała uznać się za uczestniczkę przedstawienia.

- Będę uważała. Gdzie ona jest?

Natalie kiwnęła głową ku drzwiom na wprost tych, które otworzyła dla Melissy.

- Jej pokój sąsiaduje z moim. Twój jest co prawda niewielki, lecz mam nadzieję, że na ten krótki pobyt okaże się dostatecznie wygodny.

Melissa miała wrażenie, że słowo „krótki” powiedziane zostało z jakąś szczególną emfazą, ale złożyła to na karb swojego przewrażliwienia spowodowanego zmęczeniem.

- Na pewno nie będę musiała się skarżyć.

- Rocznicowa machina już ruszyła. Dziś wieczorem mamy oficjalną ceremonię otwarcia obchodów dwóchsetlecia, lecz - niestety - zaproszenia zostały rozdane, zanim dowiedzieliśmy się, że będziesz tu razem z nami. Mam tylko nadzieję, że nie rozchorujesz się z samotności i nudów.

- Proszę się o mnie nie martwić.

O nudach w ogóle nie mogło być tutaj mowy. Z domu nad brzeg oceanu było tylko kilka minut piechotą. Już teraz Melissa cieszyła się na myśl o nagrzanym piasku i liżących plażę chłodnych grzywach fal.

- I pamiętaj - powiedziała Natalie na odchodnym - że w Sandgate nie masz siostry. Jesteś po prostu przyjaciółką mojego brata, która przyjechała wziąć udział w rocznicowych obchodach.

Natalie nie przesadzała mówiąc, że pokój jest niewielki. Okazał się klitką z nachylonym ku oknu sufitem i z mahoniową szafą, która zajmowała co najmniej czwartą część szczupłej przestrzeni.

Mimo że po tak długiej podróży przydałaby się gorąca kąpiel, Melissa zdecydowała się na szybki prysznic. Dzień mijał, a ona chciała wykorzystać do maksimum czas, jaki jeszcze pozostał.

Kiedy ubierała się w bawełnianą koszulkę i džinsy, we wnętrzu domu panowała cisza. Wszyscy już pojechali. Poczowała żal do siostry, że ta nie przyszła przywitać się z nią. Prędko jednak odepchnęła od siebie niewesołe myśli.

Zapadał wieczór, kiedy opuściła dom, a zniżająca się mgła jeszcze bardziej ograniczała widoczność. W większości domostw światła były już zapalone. Miasteczko przez te dwa stulecia rozrastało się żywiołowo, bez jakiegokolwiek urbanistycznego planu, więc trochę błędziła, zanim trafiła nad morze. Byłoby milej, gdyby Arlene towarzyszyła jej, lecz ostatecznie nie miała zamiaru ubolewać z powodu swej samotności.

Spacerując po plaży w bryzie niosącej szarzejącą mgłę, słysząc szum fal i odległe syreny ostrzegające statki, Melissa poczuła się poza czasem. Nagle z melancholijnej zadumy wyrwały ją dziecięce głosy. Przyśpieszyła kroku i usłyszała krzyk.

- Uwóżaj!



- Och, bardzo przepraszam.

Zauważyła właśnie, że zniszczyła stopą wieżę z piasku.

- Nie szkodzi - powiedział jeden z chłopców, ubrany w wiatrówkę. Mógł mieć około dwunastu, trzynastu lat, podobnie zresztą jak jego koledzy. - Najgorsze, że przepłoszyła pani ptaka. Prawie go mieliśmy.

- Jakiego ptaka?

Inny chłopiec pokazał ręką. Melissa zobaczyła mewę, której mimo żałośnie zwisającego skrzydła udawało się dotąd ujść ich obławie.

- Musimy już iść. Jesteśmy spóźnieni, a jeden z nas musi ją zabić.

- Zabić mewę? - Melissa poczuła się autentycznie przerażona. - Dlaczego?

- Jest ciężko ranna - odezwała się dziewczynka z płową czuprynką.

- Nawet jeżeli nie umrze z głodu, to i tak zadziobią ją inne ptaki. Mój tata powiedział, że w takiej sytuacji najlepszą rzeczą jest...

- Nie! - Melissa nie chciała słyszeć o żadnym litościwym zabijaniu.

- A czy nie możesz wziąć jej do domu?

- Przykro mi, ale mamy koty.

- My także.

- Ja nie mam kotów - przyznała inna dziewczynka - ale mama obedrze mnie ze skóry, jeśli znowu przyniosę do domu ptaka z przetrąconym skrzydłem. One zawsze umierają, a potem moi mali bracia płaczą przez kilka dni.

- Sza! - Chłopiec w wiatrówce przyłożył palec do ust. Wszyscy zamilkli, a najmniejszy z nich opadł na kolana i zaczął się czołgać w kierunku wyrzuconej przez fale kępy morskich wodorostów, gdzie znalazła schronienie mewa. W pewnym momencie widzowie zobaczyli tylko szybki ruch ręki i usłyszeli okrzyk triumfu.

- Mam ją!

- Nie zrób jej krzywdy! - zawołała Melissa.

- To niech pani ją weźmie.

- Nie mogę.

- Mogłaby pani zanieść ją do Eliego. - Kim jest Eli?

- Eli Campbell. Taki dziwak, który wie wszystko o ptakach. Mieszka w budzie za tamtymi drzewami.

- Dziewczynka z płową czuprynką odgarnęła włosy z oczu i wskazała w stronę skał i rosnących za nimi drzew. - Tamta ścieżka prowadzi prosto do niego.

- A ty lub twoi przyjaciele nie moglibyście...

- Nie. Mieliliśmy wrócić do domu godzinę temu. - Ale...

- Eli nie skrzywdzi pani - zapewniła dziewczynka.

- On jest tylko cudaczny. Nie jest przestępcą lub kimś takim. ,

- To dlatego, że pije - dodał chłopiec w wiatrówce. - Mówią, że kiedyś był lekarzem. Leczył ludzi. Po śmierci żony porzucił swój zawód. Moja mama żartuje sobie, że EU chce zupełnie osuszyć Sandgate z whisky i innych trunków. Jeśli ktokolwiek może pomóc mewie, to tylko Eli. Ludzie przynoszą do niego chore lub zranione ptaki. Ma nawet klatkę na ganku, by można było zostawić w niej ptaka podczas jego nieobecności.

- Pieniądze trzeba położyć na stole, a nie dawać mu do ręki. Mój tata powiedział, że może to zranić jego dumę - dodała dziewczynka.

- Jeśli nie chce pani zanieść jej do Eliego - powiedział najmniejszy chłopiec - to mogę bardzo szybko ją zabić. Nie będzie cierpiała.

- Nie! - Melissa wyciągnęła ręce po mewę. - Daj mi ją.

Musiała iść bardzo ostrożnie. Ścieżka przez skały była wyboista, a mgła i zapadająca noc ograniczały widoczność. Gdyby potknęła się i upadła, mogłaby zrobić mewie dodatkową krzywdę.

- Jesteś piękna - szeptała, wyczuwając dłońią jej szybko bijące serduszko. - I silna. Na pewno wyzdrowiejesz. Eli będzie wiedział, jak cię wyleczyć.

Chata Eliego stała na pniakach. Była sfatygowana przez burze i obrosła mchem. Zbite z surowych desek drzwi ledwie trzymały się na zawiasach. Do jednej ściany doczepiona była kryta papą wiata, gdzie zgromadzony został cały dobytek tego Robinsona Crusoe, a więc: opał, sieci, haczyki, połamane beczki i skrzynki, kłębki sznura. Na narożnym pniaku wisiała kotwica z kawałkiem deski ze starego okrętu, na której widniało wypisane czarnymi literami imię „Lenore”,

Ganek nie był gankiem z prawdziwego zdarzenia, tylko raczej

podwyższeniem zrobionym z rozłupanych bali. Panował tu taki bałagan, że Melissa w pierwszej chwili nie spostrzegła klatki, o której wspomniały dzieci. Znalazła ją w końcu za jakimś zardzewiałym kubłem i umieściła w niej ptaka. Mewa od razu wtuliła się w kupkę siana i zaczęła wydawać żalosne piski.

- Sprowadzę doktora.

Kiedy kilkakrotne pukanie do drzwi nie odniosło efektu, okrążyła chałupę i podeszła do okna. Między parapetem a roletą jaśniała smuga żółtego światła. Miała właśnie nachylić się, by zajrzeć do środka, kiedy poczuła, że czyjeś ręce podrywają ją do góry.

- Ty diablico! - usłyszała za sobą męski głos. - Czy już zapomnieliście o ostatniej nauczce?

- Proszę zaczekać! Błagam! -. Szybko przestała się opierać, uświadamiając sobie, że uścisk staje się tym mocniejszy, im gwałtowniej stara się odzyskać wolność. - Musiał mnie pan pomylić z kimś innym.

- Na przykład z roznosicielką francuskich perfum.

- Proszę mnie puścić.

- Puszczę cię, a jakże. Powinienem sprać cię na kwaśne jabłko, ale myślę, że tę przyjemność zostawię twemu ojcu.

Kiedy włókł ją do chaty, Melissa zgubiła but, uderzyła głową o słup wiaty i walnęła łokciem o framugę drzwi. Jej krzyki nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Wepchnął ją do środka, wciąż przeklinając i złorzeczając. W końcu cisnął ją na jakąś kupę gałganów.

Stał teraz do niej tyłem. Szukał czegoś w panującym tu nieprawdopodobnym bałaganie. Miała teraz pewną możliwość ucieczki, ale czy odważy się? Jakąż idiotką okazała się przychodząc tu.

„Jest dziwakiem, ale nie jest niebezpieczny”, zapewniły ją dzieci. I ona uwierzyła ich zapewnieniu. Co ją opętało?

Kiedy odwrócił się do niej, trzymał postrzępioną kartkę papieru i długopis.

- Twoje nazwisko i telefon.

Jego wygląd kompletnie ją zaskoczył. Wyobrażała sobie dotąd

Eliego Campbella jako zgarbionego sześćdziesięciolatka z czerwonym pijackim nosem. Mężczyzna, który pochylał się nad nią, był przeciwieństwem tego wyobrażenia. Zasługiwał niewątpliwie na uwagę, którą przyciągają osoby interesujące i oryginalne. Miał regularną i wyrazistą twarz. Wzrostem dorównywał Brianowi. Podwinięte rękawy bawełnianej koszuli odsłaniały muskularne ramiona. W jego czarnych jak smoła włosach zauważało się tylko pojedyncze pasemka siwizny. Na jego twarzy malował się gniew. A właściwie coś więcej niż gniew. Była to najprawdziwsza wściekłość.

- Przyniosłam ptaka ze złamanym skrzydłem. Napotkane przypadkowo dzieci powiedziały mi..

I gdzie ten ptak? Pod twoją koszulą? Jego sarkazm uraził jej dumę. Już przestała się bać. Zamiast strachu czuła oburzenie.

- Włożyłam go do klatki. Czy zrobiłam coś złego?

- Bynajmniej.

Wziął do ręki lampę i w jej świetle obrzucił Melissę dokładniejszym spojrzeniem.

- Nie jesteś jedną z nich.

- Nie, nie jestem, choć nie wiem, kogo miał pan na myśli.

- Bardzo mi przykro - powiedział, choć w jego głosie bynajmniej nie wyczuwało się żalu. - W ostatnim okresie mam kłopoty z miejscową chuliganerią, chłopakami i dziewczynami. Czatowałem, aż jedno z nich wpadnie mi w ręce.

- I wpadłam ja.

- Na to wygląda. Ostatniej nocy wybili mi okno w szopie i ukradli narzędzia.

- I myślał pan, że jestem dziewczyną herszta bandy? -Pomyłka, którą można zrozumieć.

- Można zrozumieć? - wysapała. - Czy dlatego, że jestem mała?

Gdyby nie mgła i ciemność, na pewno dostrzegłbym, że mam do czynienia z kobietą.

Znów jego oczy prześlizgnęły się po jej ciele.

Zanim rzucił się pan na mnie, trzeba było sprawdzić, czy faktycznie zakradłam się tutaj dla rozboju.

Mogłem, ale wtedy przepłoszyłbym intruzkę. Co pani robiła o tej porze na plaży?

- Spacerowałam.

- Czy ma pani kartę wstępu?

Odmówiła przyjęcia wyciągniętej ku niej ręki i wstała o własnych siłach. Bolał ją łokieć, Czuła się śmiesznie w jednym bucie.

- Dlaczego powinnam mieć kartę?

- Bo to jest plaża prywatna.

Bez słowa ominęła go i wyszła na dwór Znalazła but, założyła go, po czym wróciła do chaty. Wchodząc rzuciła okiem w lustro wiszące na gwoździu. Wyglądała jak prawdziwa łobuzica. Miała potargane włosy, a na jej twarzy znaczyły się jakieś brudne plamy,

- Pomysł prywatnej plaży przeraża mnie. Nikt nie powinien posiadać na wyłączną własność skał, piasku i morza. Cuda natury są po to, by cieszyć sobą wszystkich.

- Pięknie powiedziane, ale być może zmieniałaby pani zdanie, widząc stosy zatłuszczonych papierzyk, puszek i rozbitych butelek, które znajdują pod koniec każdego weekendu po tak zwanych turystach i plażowiczach. Zresztą wyrobić sobie kartę jest bardzo łatwo. Wystarczy krótka wizyta u szeryfa i...

- Przyniosłam zranionego ptaka - przerwała mu. Ten człowiek nie wyglądał na typowego pustelnika.

Nie było w nim ani śladu nieśmiałości czy też bojaźni przed ludźmi. Wprost przeciwnie, biła od niego pewność siebie. Należał do mężczyzn przystojnych, jakkolwiek ostro wyciosane, surowe rysy jego twarzy oddalały go od klasycznego wzorca. Głęboka zmarszczka pomiędzy krzaczastymi brwiami świadczyła, że częściej marszczy czoło w zadumie lub smutku, niż śmieje się. Ale też dawał się zauważyć jakiś promyczek w jego oczach. Przebłysk, który mógł oznaczać rozbawienie jej kosztem.

- Już to słyszałem.

- Czy w takim razie zamierza go pan obejrzeć? Zmarszczka pomiędzy brwiami pogłębiła się.

- Jest kawa na kuchni. Proszę sobie nalać. Zobaczę, co da się

zrobić.

Kawa okazała się mocna, gorzka i zaledwie letnia. Melissa sączyła ją tylko dlatego, by nie siedzieć beczynnie, podczas gdy Eli oglądał ptaka.

Na pierwszy rzut oka wewnątrz chaty wyglądało jak po kataklizmie. Teraz jednak, gdy mogła zlustrować je uważniej, doszła do wniosku, że jest tylko nadmiernie przeładowane.

Niewątpliwie doktor był kolekcjonerem. Kolekcjonerem wszystkiego. Starych zegarów, map, litografii, kluczy, książek i różnych innych przedmiotów, które opierały się jakiemukolwiek zdefiniowaniu. W rezultacie nie było skrawka wolnego miejsca ani na ścianach, ani na prostych, skromnych meblach, z wyjątkiem stołu. Ale podłoga była zamieciona, a nawet umyta. Zasłony w oknach były uprane, zaś w zlewie nie widać było talerzy z resztkami jedzenia. - Nie jest najgorzej. - Mężczyzna pokazał jej mewę. - Unieruchomiłem jej skrzydło. Wróci do formy za kilka dni.

- Co mogło spowodować złamanie?

- Przypuszczam, że kamień.

- Czyżby ktoś rozmyślnie cisnął w nią kamieniem?

- Zdarzają się i takie przypadki.

- Doprawdy, trudno to sobie wyobrazić. - Pod wpływem jego przenikliwego spojrzenia lekko zmieszana się. - Jest piękna, prawda?

Ptak teraz wydawał się całkiem uspokojony, jakby wyczuwał, że znajduje się w rękach przyjaciół

- Proszę zaczekać i zobaczyć ją w locie. Wtedy dopiero będzie piękna.

- Mam nadzieję, że zobaczę jej wzlot ku niebu Czyżby chciała przez to powiedzieć, że zaprasza się na drugą wizytę?

Rozsunął kurtynę w końcu pokoju i odsłonił półki z klatkami. Większość z nich była zajęta. W jednej siedział ptak z tego samego gatunku mew, co mewa Melissy

- Włożę tę do tamtej. Ptak lepiej znosi leczenie, jeśli ma przy sobie pobratymca. Ostrożnie wsadził nowego pacjenta do klatki i chwilę odczekał, zanim zamknął drzwiczki. Będę od czasu do czasu zaglądał



do nich i sprawdzał, czy aby współzycie przebiega bez konfliktów. Czasami ptak zadomowiony odrzuca przybysza bez żadnych widocznych przyczyn.

Zupełnie jak człowiek. - Melissa nie mogła darować sobie tego porównania.

Ledwie zauważalny ślad uśmiechu poświadczył, że dotarł do niego aktualny sens jej słów.

Na szczęście miała przy sobie kilka dolarów, które wzięła z myślą o tym, że może poczuć głód i będzie chciała zjeść jakąś kanapkę. Równocześnie pamiętała o uwadze dzieci. Kiedy więc doktor odwrócił się do zlewu, aby umyć ręce, położyła pieniądze na stole i przycisnęła je pieprzniczką. Z jakiegoś powodu postępowanie to wydało się jej idiotyczne.

Stał wciąż odwrócony, ale spoglądał na nią w lustrze.

Czy już pani jadła kolację?

Uśmiechnęła się. Ciągłe traktował ją niczym dziewczynkę, z tą tylko różnicą, że teraz była to grzeczna dziewczynka.

- Nie jestem głodna.

- Ależ jest pani. Morskie powietrze pobudza apetyt. Zrobimy sobie coś do jedzenia, a potem odprowadzę panią do domu.

- To naprawdę zbyt wiele.

Jego zapasy żywności, sądząc po rozmiarach kredensu i lodówki, musiały być bardzo skromne. Nie chciała, aby miał poczucie, że ugaszcza ją.

- Może i zbyt wiele. Ale chciałbym lepiej panią poznać.

Ta uwaga oraz ton autentycznego pragnienia, jaki ujawnił się w jego głosie, wstrząsnęły nią do głębi. Słyszała już podobne słowa z ust innego mężczyzny. Ale ten tu nie był taki zupełnie zwyczajny. Był pustelnikiem. Pustelnicy nie szukają towarzystwa, nie czynią sobie przyjaciół z obcych ludzi.

- Chce pan dowiedzieć się, czy jestem godna? Przymknął częściowo jedno oko.

- Godna czego?

- Godna posiadania karty wstępu na plażę.

Jak zawsze, kiedy czuła się swobodnie w czyjejs obecności, tak i teraz miała ochotę do żartów.

- Coś w tym rodzaju.

Wytarł ręce i odwrócił się.

- Idziemy?

Pilnuj się, dziewczyno, ostrzegała samą siebie. Ten mężczyzna może być niebezpieczny. Wiedziała o nim tylko tyle, że był miejscowym ekscentrykiem.

- To nie zamierza pan jeść tutaj?

- Rezultaty mojego pitraszenia mogą popsuć każdy apetyt. - Uczynił minę pełną odrazy i dodał: - Proszę włożyć pieniądze do słoika po dżemie, który stoi na półce przy piecu. - Wskazał na banknoty leżące pod pieprzniczką. - Eli znajdzie je tam.

- To pan, to pan... nie jest Eli Campbell? Prawie zabrakło jej powietrza.

- A tak właśnie pani myślała? - Rozbawienie rozjaśniło mu oczy. - Czasami chciałbym być nim. Wiedzie tu prosty, pogodny żywot. Przynajmniej wiódł do niedawna. Wandale, o których wspomniałem, obrzucili jego dom kamieniami. Rzucił się w pogoń za nimi, potknął się i wykręcił nogę w kostce. Teraz jest w szpitalu. Ale ma wrócić jutro. Doglądam jego rzeczy. Nazywam się Jeremy York.

A więc to tak. To wszystko, co mogła powiedzieć. Pewne rzeczy nagle nabrały sensu. Ten człowiek nie był pustelnikiem i było to bardzo niepokojące. Stał się teraz dla niej kimś zupełnie obcym.

A pani... - Zawiesił głos. Przedstawiła się.

Co w takim razie powie pani, panno Melisso Brandon, na krótki spacer do restauracji?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Tutejsi mieszkańcy są ludźmi czcigodnymi i umieją wzniesć się ponad wszelkie podejrzenia - zapewnił ją, wyczuwając przyczynę tego braku zdecydowania.

- Wynika stąd, że chuliganeria to przyjezdni? Bez wątplenia.

- Jakże mogłabym być innego zdania...

Nigdy przedtem nie miała kłopotów z rozstrzygnięciem, czy

przyjąć zaproszenie, czy też stronić od niepewnej znajomości, a tu nagle zarówno „dziękuję, chętnie”, jak i „do widzenia” okazały się równie trudne i problematyczne.

- Ma pani śliczną twarz. Lecz jestem pewien, że powiedziałem rzecz już pani znaną.

- Dziękuję - odparła cichym głosem.

Lecz czego być może jeszcze pani nie wie, to to, że ta śliczna twarz jest brudna.

Wskazał jej ręką drogę do łazienki.

Kiedy zamknęła się w maciupieńkiej klitce, poczuła się tak roztrzęsiona, jak przed pierwszym szkolnym bale. Nigdy dotąd nie poznała mężczyzny o tak demonicznym wyglądzie i nieobliczalnym zachowaniu. Fakt, że ten mężczyzna niewątpliwie pociągał ją, jeszcze bardziej utrudniał ocenę sytuacji.

Mężczyźni jej życia, których poznawała na studiach, a potem w pracy, byli przejrzysti i łatwo przewidywalni, jak komercyjne programy telewizyjne.

Westchnęła, wyczuwając jałowość swych argumentów. Być może będzie żałowała, że dała się skusić Jeremy'emu Yorkowi. Ale też będzie żałowała, jeśli pozwoli mu zniknąć, nie dowiedziawszy się o nim niczego.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Restauracja nosiła nazwę „Sea View” i, jak sugerował szyld, oferowała z okien widok morza. Ale teraz świat spowijała nocna mgła i o widzeniu czegokolwiek nie mogło być mowy. W nowocześnie urządzonej wewnątrz jedna znużona kelnerka obsługiwała samotnego gościa - brodatego mężczyznę, który ślęczał nad krzyżówką. Nawet nie uniósł głowy, kiedy weszli.

Wygodniała Melissa zamówiła jajecznicę na bekonie. Jej towarzysz zignorował kartę dań. Jego głęboko osadzone oczy patrzyły z zaciekawieniem spod ciemnych krzaczastych brwi.

- Co pani porabia w tych chwilach - zapytał - kiedy nie włóczy się po cudzych plażach i nie zagląda w czyjeś okna?

- Jestem agentką ubezpieczeniową w Albany - odparła, zaraz dodając: - Moja praca tylko wydaje się nudna. Ja uważam, że wymaga myślenia i codziennie stawia przed człowiekiem różne ciekawe wyzwania. - W kącikach jego oczu igrały błyski humoru. - A co pan robi, kiedy nie straszy pan Bogu ducha winnych turystek?

- Nigdy nie zgadłbym, że tak łatwo panią nastraszyć.

- Łatwo? Myślałam, że napadł mnie dzikus, który na dodatek jest wariatem.

- Biedna dziewczynka. - Uśmiechnął się zagadkowo. Jego głos brzmiał nieco ironicznie. - Ale prędko stałem się potulny, nieprawdaż?

Potulny? Określenie to w ogóle do niego nie pasowało. Nawet kiedy miło rozmawiał przy stoliku, było w nim coś dzikiego i gwałtownego, jakaś kipiąca lava pod spokojną powierzchnią. Ta dwoistość zafascynowała ją.

- Czym się pan zajmuje? - powtórzyła pytanie.

- Projektuję wyposażenie wesołych miasteczek.

- Karuzele... beczki śmiechu?

- Między innymi.

Niemożliwe. Nigdy by się tego nie domyśliła. Sądząc po

muskularnych ramionach i szerokiej szyi Tarzana, robił raczej wrażenie człowieka, który zarabia na życie pracą fizyczną, Lecz równocześnie był w nim pewien szlachetny wdzięk, który zdawał się oznaczać coś zupełnie innego.

- Większość ludzi uważa - powiedział - że pomysły różnych sensacyjnych widowisk są nowe. Otóż nie są nowe. Na przykład na wystawie osiągnięć technicznych w Buffalo w 1901 roku podróż na Księżyc w statku kosmicznym była tak realistyczna, że kiedy pasażerowie opuścili wehikuł, nie mogli wręcz uwierzyć, iż w ogóle nie opuszczali Ziemi. Zaprezentowano tam również zagładę Pompejów na skutek wybuchu Wezuwiusza.

Melissa jęknęła.

- Prawdziwy horror. Pan, mam nadzieję, nie robi nic tak straszego.

- Wolę raczej zabawy i triki, w których ludzie uczestniczą, a nie są tylko biernymi widzami. Pracuję obecnie nad ulepszoną wersją konnego wyścigu na przełaj z przeszkodami. Konie biegają po oddzielnych torach, a jeźdźcy ulegają wrażeniu, że biorą udział w gonitwie z prawdziwego zdarzenia.

Najwidoczniej przepadał za swoją pracą. Kiedy opisywał jej różne techniczne szczegóły, podawał daty i miejsca, sypał anegdotami, jego entuzjazm rósł z minuty na minutę. Zarażał swoją pasją. Był człowiekiem namiętym, który nasycił zmysłowością każde swoje słowo, najdrobniejszy gest. Gdyby był mechanikiem samochodowym, potrafiłby rozpałić ją ideą nowego sprzęgła czy tłoku.

- Ostatni raz byłam w wesołym miasteczku jeszcze jako dziecko.

Ledwie powstrzymała się przed dodaniem, że to dlatego, iż wszystko, co wiruje, kręci się, wznosi i opada przyprawiało jej młodszą siostrę o zawrót głowy. Wzmianka o siostrze mogłaby pociągnąć za sobą pytania, wobec których byłaby bezradna. W Sandgate, o czym przypomniała jej Natalie, Melissa nie miała siostry.

- A dzisiaj jest pani na to zbyt dorosła. Jaka szkoda. - Melissa podejrzewała, że jego poważna, zasmucona twarz była tylko

komiczną maską, za którą skrywała się ochota do żartobliwej ironii. - Kiedy osiągnie pani mój wiek, będzie czyniła pani rozpaczliwe próby odzyskania utraconej młodości.

Oblizła górną wargę, na której poczuła kawałek bekonu.

- Słyszę w tym nutkę moralizowania i sentymentalizmu.

Poprzez stolik nachylił się ku niej.

- Doprawdy?

- Nie zmarnowałam lat mojego dzieciństwa, a pan nie jest starym Człowiekiem.

Szacowała, że był gdzieś w połowie drogi pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Tak czy inaczej, około dziesięć lat od niej starszy. Równocześnie wszystko wskazywało na to, że Jeremy York błędnie oceniał jej wiek, w czym nie różnił się od większości osób zwiedzionych jej kruchą dziewczęcą figurą.

Milczał. Wydawało się, że intensywnie nad czymś myśli.

- Dlaczego przyjechała pani do Sandgate? - zapytał, kiwając na kelnerkę i zamawiając kawę.

Pytanie zaskoczyło ją.

- To jasne. Zapowiada się tu mnóstwo zabaw i atrakcji związanych z rocznicą.

Wybuchnął śmiechem.

- Okażą się nudziarstwem dla kogoś, kto nie jest z tych stron.

Melissa miała ochotę uderzyć pięścią w stół. Czyżby znowu miał zamiar wytykać jej, że jest skądinąd, i puszyć się klanowością Sandgate?

- Przyjechałam tu z przyjacielem.

- Rozumiem.

I znów w kącikach jego ust pojawiły się przebłycki uśmiechu. Czekał, aż wyjaśni rzecz obszerniej. Nie zrobiła tego. Przeciwnie, tym razem jego uśmieszek zaczynał ją drażnić.

- Czyżby należało do pana obowiązków przepytywanie gości, którzy zjawiają się w Sandgate?

Uśmieszek zniknął z jego warg, a krzaczaste brwi połączyły się niemal w jedną linię.



- Nie jestem policjantem.

- To może nie być prawdą.

- Przykro mi, jeśli okazałem się niegościnnie - powiedział, stukając niecierpliwie palcem w blat stołu. Spojrzał ku drzwiom. Kto wie, czy nie pragnął w tej chwili jak najszybciej uwolnić się od niej. - Mgła zdaje się gęstnieć. Proszę grzecznie skończyć kolację, a potem odprowadzę panią do domu.

- Stokrotne dzięki.

Mogłaby ostatecznie sama poszukać drogi do domu, ale byłby to wariacki gest. Ryzykowała wielogodzinnym błędzeniem. Poza tym, mimo wszystko, ten mężczyzna zaciekawiał ją. Jeszcze nie była gotowa rozstać się z nim. Był rozsypaną układanką, której elementy należało dopasować do siebie.

- Skończyłam - oświadczyła, wycierając usta papierową chusteczką.

Gdy opuścili lokal, otoczył ich szczególnie nastrój tajemniczości pomieszanej z bajkowością. Czy składały się nań jedynie mgła, światło neonów, szum morza i obce otoczenie, czy też raczej wywoływał tę atmosferę obcy mężczyzna, który kroczył u jej boku? Bo wciąż pozostawał dla niej obcym, mimo że znała jego zawód i imię. Jeremy York. Widziała, jak podpisywał się na czeku wystawianym kelnerce. W jego podpisie czaiła się zuchwałość. Gdyby miała opanowane tajniki grafologu, mogłaby wysnuć z kształtu jego dużych i małych liter jakieś sensowne wnioski. Jeremy. Nie znała nikogo o tym imieniu. Imię to przywoływało zamierzchłe czasy. Pasowało raczej do rycerza, który walczy mieczem w obronie honoru pani swego serca.

Droga zdawała się nie mieć kresu. Prowadziła donikąd. Nagle z gęstej ciemności wypadł czarny pies o krótkiej sierści i nieokreślonym rodowodzie. Obwąchawszy ich, powłókł się w tyle.

- Czy to pański? - zapytała, zauważywszy u Jeremy'ego obojętną reakcję na to spotkanie.

- Tak i nie. Można powiedzieć, że miejski.

- Tak?

- Nauczony od szczeniaka rozedrzeć na kawałki każdego, kto ośmieli się wtargnąć do Sandgate bez pozwolenia rady miejskiej.

- To po prostu straszne. - Ukradkowe spojrzenie na jego profil przekonało ją, że mimo tego żartu ciągle jest obrażony. - Czy jestem w niebezpieczeństwie?

- Nie, jeśli idzie pani blisko mnie. - Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. - Bliżej. Właśnie tak. Pokażmy mu, że jesteśmy przyjaciółmi.

Dobroduszny wyraz malujący się na pysku psa i jego rozkołysany ogon zaprzeczały groźbom Jeremy'ego. Melissa zaśmiała się.

- Przepraszam - powiedziała. - Okazałam się osobką przewrażliwioną. Myślę, że to z powodu przemęczenia. To był uroczy dzień, ale trochę zbyt długi i przeładowany wrażeniami.

Jakkolwiek były to najlepsze przeprosiny, jakie mogła zaofiarować, w istocie nie czuła się zmęczona. Mogłaby iść tak w tę mglistą noc bez końca. Skądś spłynął na nią nowy zapas energii.

Nagle Jeremy zatrzymał się i odwrócił ją ku sobie. Poczowała na ramionach jego ciepłe, mocne dłonie. Lekkie drzenie wstrząsnęło jej ciałem.

Chyba nie uznał, że jej najeżenie się tam w restauracji było paradoksalną próbą flirtu? Z pewnością należał do mężczyzn obeznanych z wszystkimi kobiecymi sztuczkami, chyba że kobiety w Sandgate okazały się dotąd ślepe na jego walory. Kiedy jednak z wysiłkiem uniosła ku niemu oczy, poznała, że Jeremy York nie osądza jej. Na pewno też nie uważa jej za dziewczynkę. Nigdy jeszcze nie czuła się przedmiotem takiego pożądania. I nigdy jeszcze przecucie, że za chwilę zostanie pocałowana, nie owładnęło nią tak dogłębnie.

Czy powinna pozwolić? A czy miała jakiś wybór? Poczowała na wargach delikatne mrowienie. Rozchyliły się w oczekiwaniu. On zaś wydawał się gotów do smakowania ich.

- Czy zawieramy pokój? - zapytał.

Kiwnęła głową, nie za bardzo ufając swojemu głosowi.

- Dobrze. W takim razie chciałbym zająć się pani edukacją.

Przełknęła ślinę.

- Czym?

Roześmiał się pełną pierśią. Błysnęły jego równe zęby, kontrastujące nieskazitelną bielą z opaloną skórą. - Proszę nie krzywić się, jak przy jedzeniu cytryny. - Dotknął palcem zmarszczki na jej czole. - Chciałbym tylko nauczyć panią, jak czerpać radość z dziecięcych rozrywek.

- A konkretnie?

- Muszę załatwić jutro w Westerly pewną sprawę. Odbywa się tam właśnie doroczny jarmark, na który zamierzam panią porwać, o ile oczywiście pani przyjaciel nie wyrazi sprzeciwu.

- Nie. To znaczy... nie jestem całkowicie pewna. Musiała przecież porozumieć się najpierw z Arlene. - Uprzedzam, że nie mamy w rozkładzie jazdy na jutro trzęsienia ziemi. I obiecuję odstawić panią na czas na wieczorną potańcówkę. Zakładam, że wybiera się pani na nią.

Te słowa wystarczyły. Była niemal gotowa wykrzyknąć swoją zgodę.

- Myślę, że uda mi się pojechać z panem na ten jarmark - powiedziała tonem, który starała się uczynić swobodnym i raczej beznamiętnym.

Myślni była już w swojej szafie, skąd wyrzucała ubrania na jutrzejszą wycieczkę.

- Wspaniale. Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć, zanim pójdziemy dalej.

- Jaka? - zapytała, zagubiona w gąszczu bliżej nie określonych domysłów.

- Czy kierujemy się w dobrą stronę. Czy wie pani, gdzie się zatrzymała?

- Ależ oczywiście - odparła z uczuciem ulgi.

W pierwszym momencie zlekła się, że spyta ją o przyjaciela, nie miała zaś gotowej odpowiedzi. Jedno niezręczne słówko o Brianie mogłoby zmrozić tę atmosferę dopiero zawiązującej się przyjaźni. Bez Opowiedzenia z detalami całej historii, Jeremy miałby trudności ze zrozumieniem istoty ich wzajemnego stosunku. A nie chciała

uciekać się do dalszych kłamstw. Te, do których dotąd została zmuszona, i tak już tworzyły gąszcz, z którego trudno będzie się wywikłać.

- Czekam więc na jakąś wskazówkę - powiedział ironicznym tonem, rozbawiony jej niezdecydowaną miną.

Podawała mu podstawowe współrzędne, starając się nie popełnić żadnego błędu.

- Wynika stąd, że zatrzymaliście się u Shenleyów - rzekł głosem, w którym pobrzmiwały jak gdyby nutki oskarżenia.

- Nie znam nazwiska właścicieli. Wynajęliśmy go tylko na okres obchodów dwóchsetlecia.

Zaczęła opisywać dom od zewnątrz. Zaraz jednak musiała przerwać, gdyż na poblądłej twarzy Jeremy'ego odmalował się ni to gniew, ni to zdumienie. A może tak tylko wydawało się jej w zamglonym świetle ulicznej latarni?

- Mieszka pani z Natalie Kerr, czy tak?

- Skąd pan wie?

- Z poprzedzających naszą rocznicę zebrań i narad, na których zaproszonym gościom rozdzielano kwatery.

- I zna pan Natalie, prawda?

- Dziwi to panią?

W tonie jego głosu pojawiła się tym razem taka obcość, że aż ją to zabolowało.

- Nie dziwi. Przecież w Sandgate każdy zna każdego. Starła się powiedzieć to głosem najłagodniejszym, najmniej konfliktowym, a mimo to wiedziała, że ciepło, które zaczęło na powrót nasycać atmosferę tego spaceru i tej rozmowy, znów gdzieś wyparowało, Jeremy najpewniej również uświadamiał to sobie.

Dobiegło ich od strony morza przejmujące buczenie syreny alarmowej.

- Czy trafiła pani do chaty Eliego całkiem przypadkowo?

- Zdaje się, że już powiedziałam to panu. Drogę wskazały mi dzieci.

- A czy nie było tak, że to ja stanowiłem przedmiot poszukiwań?

- Co pan sugeruje?  
- Czy muszę wyjaśniać?  
- Proszę nie mówić zagadkami. Jeśli zna pan Natalie i są między wami jakieś urazy, to...

- Urazy? Skądże znowu.

- Więc nie rozumiem...

- Pożegnaj się przy tamtych schodkach. Dalej, myślę, da pani sobie radę sama.

- Oczywiście.

Chciała zapytać o plany na dzień jutrzejszy. Czy umowa nadal jest aktualna? Ale czy w ogóle mogła być?

- Poczekam tu jeszcze chwilę i popatrzę za panią. Zawsze lepiej mieć całkowitą pewność.

Melissa poczuła pieczenie w kącikach oczu, Ale nie wolno było jej płakać.

- Proszę się nie martwić - rzuciła dość opryskliwie. - Przecież jesteśmy w Sandgate, najczcigodniejszym i najbardziej praworządnym miejscu pod słońcem. Cóż złego mogłoby mnie tutaj spotkać?

Gdy otwierała drzwi, spojrzała jeszcze za siebie. Ale Jeremy już odwrócił się i zniknął we mgle. Czarny pies podążył za nim.

Cóż, pomyślała filozoficznie, walcząc ze smutkiem, który torował sobie drogę do jej serca. Raz smakujemy gorycz, raz słodycz. Wszystko może jeszcze obrócić się na dobre.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytała Natalie piskliwym głosem. - Jean odchodziła od zmysłów z niepokoju o ciebie.

Melissie zrobiło się przykro, że naraziła siostrę na chwile trwogi.

- Spacerowałam po plaży.

- W tej mgle? - Kobieta uniosła ręce w geście zdziwienia. - I co z twoim ubraniem? Spacerowałaś czy też raczej tarzałaś się po plaży?

Melissa miała już na końcu języka odpowiedź, która korespondowała z jej nie najweselszym nastrojem, ale zrezygnowała z niej.

- Jedno przeplatałam drugim. W sumie jestem trochę zmęczona.

- Nie dziwię się. Mam tylko nadzieję, że nikt cię nie widział. Ludzie tutaj niechętnym okiem patrzą na tego rodzaju niedbały styl ubierania się. Sandgate nie słynie z tolerancji.

Sandgate. Znowu to Sandgate. Melissa zacisnęła zęby i wstąpiła na schody. Natalie zatrzymała się przy najniższym stopniu. W swojej czarnej sukni wyglądała, w żółtawym świetle holu, niczym groźna gospodyni w amatorskiej przeróbce głośnego filmu „Rebecca”.

- Ledwie widziałam wyciągnięte przed sobą dłonie. Mam nadzieję, że nie okryłam cię hańbą.

- Melissa.

- Słucham?

- Jean upiera się, abyś poszła jutro razem z nami na bal. Zapowiada się wielka gala przy obecności najlepszych rodzin z miasta. Czy... czy masz odpowiedni strój?

Było coś tak zabawnego w wyrazie twarzy tej niewątpliwie pięknej kobiety, że Melissa omal nie wybuchnęła śmiechem. Natalie najwidoczniej obawiała się, że Melissa pojawi się na parkiecie w łachmanach.

- Wzięłam ze sobą coś stosownego na tego typu okazje.

- Wspaniale. - Chłodny uśmiech Natalie oznaczał, że nie jest o tym do końca przekonana. - W takim razie życzę ci dobrej nocy. Proszę tylko, żebyś nie budziła siostry. Chcę ją widzieć jutro rano świeżą i wypoczętą.

Będąc u szczytu schodów, Melissa jęknęła. Uchwyciła spojrzeniem swoje odbicie w wiszącym tu lustrze, a nie był to obraz zachwycający. Natalie nie bez przyczyny ze zgrozą załamywała ręce. Wyglądała jak straszdyło. Miała potargane włosy, poplamione ubranie, a twarz kredowobiałą. Graniczyłoby z cudem, gdyby Jeremy York pamiętał o rzuconym pochopnie zaproszeniu. Prawdopodobnie nigdy go już więcej nie ujrzy. Zdążył wyrazić już swą pogardę dla całej rocznicowej fety tym chociażby, że nie było go dzisiaj na bankiecie z okazji otwarcia obchodów.

- Nie przejmuj się, Missy - ktoś powiedział w półmroku.

Przy oknie holu na piętrze stał Brian i palił papierosa. Zgasił go i



podszedł do Melissy.

- Nie przejmuję się - odparła. - A przynajmniej staram się zachować względny spokój. Niemniej kiedy cały ten teatr zakończy się, urządzę sobie małe prywatne święto.

- Proponowałbym, abyś nie przykładała miary mej siostry do całej tutejszej społeczności.

- Nie przykładam - zapewniła go.

Pamiętała pełne poczucia wyższości wypowiedzi pana Yorka na temat prywatnych plaż i uprzywilejowanych grup społecznych. Gdyby nie przyjęła tak skwapliwie jego zaproszenia, zachowałyby zapewne więcej osobistej godności i dumy.

- Mam fantastyczny pomysł - rzucił Brian, opierając się ręką o ścianę nad jej głową i patrząc na nią spod spuszczonego bursztynowego rzęsu. - Tu w okolicy jest mnóstwo historycznych pamiątek i chciałbym komuś to wszystko pokazać. Wstaniemy jutro o wschodzie słońca i zobaczymy wszystko, co warte zobaczenia.

Z jakiegoś względu propozycja ta nie za bardzo ją porwała.

- Naprawdę wszystko? Wzruszył ramionami.

- Masz całkowitą rację. Musimy przecież zostawić coś na następny dzień.

Na kilka sekund zamknęła oczy, próbując nie zgubić wątku rozmowy, mimo że część jej świadomości okupowana była przez zagadkowego pana Jeremy'ego Yorka.

- Nie chciałabym odciągać cię od twoich współplemieńców.

- Współplemieńców? - Uśmiech rozjaśnił mu chłopięce oczy. - Powiedziałaś to, jakbyś mówiła o gigantycznych jaszczurach.

- Z pewnych przyczyn porównanie to wydaje się odpowiednie.

Musiła wreszcie położyć się do łóżka i odpocząć. Ruszyła ku drzwiom swojego pokoju.

- A co z naszą wycieczką? - przypomniał jej Brian.

- No tak, wycieczka. - Jak wykręcić się z zastawianej pułapki, nie raniąc jego uczuć? Nieudany wieczór odebrał jej ochotę na jakiegokolwiek turystyczne atrakcje. - Myślę, że nic z tego nie będzie. Powinnam przede wszystkim przed jutrzejszym baleem zrobić coś z

moimi włosami.

Dotknął palcami warg na znak entuzjastycznej aprobaty.

- Och, Melisso. Wyglądasz wspaniale.

- Więc dlaczego nie uważam, że wyglądam wspaniale? - zadała retoryczne pytanie, wiedząc dobrze, jaki widok sobą przedstawia.

- Widzę, że zupełnie nie uświadamiasz sobie, jak rozkosznie słodką jesteś osobką. Jako jedyna ze znanych mi młodych kobiet nie musisz kręcić, tapirować i lakierować swoich cudownych włosów. Po prostu noś je rozpuszczone, jak wtedy, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, a zapewniam cię, że wszyscy padną na kolana.

- Gorąco dziękuję, sir. Potrzebowałam tego rodzaju wsparcia bardziej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Położył dłonie na jej ramionach.

- A więc co z naszym objazdem okolicy?

Lubiła Briana i gdyby nie pewne wydarzenia dzisiejszego wieczoru, przyjęłaby jego zaproszenie. Ale te wydarzenia właśnie miały miejsce i nie mogła przejść nad nimi do porządku.

- Niestety, ale chyba do niego nie dojdzie. Czy widziałeś program uroczystości, który Natalie przybiła w holu na drzwiach?

- Widziałem.

- Zapowiada się tyle przyjęć, balów i konkursów, że dosłownie w głowie się kręci. Jeszcze nie wiem, na które zdecyduję się pójść.

Na dole Natalie gasiła światła i zamykała okna. Za chwilę mogła się tu zjawić. Brian musiał wziąć to pod uwagę, gdyż gwałtownym ruchem przygarnął ku sobie Melissę i zbliżył ku jej ustom swe usta.

- Dobranoc - rzuciła ożywionym tonem, zręcznie uwalniając się z jego uścisku.

- Tak czy inaczej - powiedział - wstaję jutro razem ze słońcem. Na wypadek gdybyś zmieniła zdanie.

- Nie licz na to. Dobranoc.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Chociaż obawiała się różnych sennych koszmarów, spała twardo i obudziła się wypoczęta. Dom wciąż pogrążony był w ciszy, a zegar z kukułką na podeście schodów zdawał się ganić ją w trakcie odliczania godzin, że tak długo pozostawała w łóżku.

- Wstanę z poranną zorzą - zamruczała przedrzeźniającym tonem w drodze do łazienki, gdy zobaczyła zamknięte drzwi sypialni Briana.

Tym lepiej. Przynajmniej miała jakieś usprawiedliwienie, że wypuszczą się sama. Kartka wsunięta pod drzwi siostry wyjaśni wszystko, co trzeba.

Włożyła spodnie w kolorze khaki i cienką bawełnianą koszulę. Ten praktyczny ubiór ożywiła przewiązaną na szyi zielono-wiśniową chustką. Zielona wstążka, którą zebrała z tyłu włosy, dopełniała reszty i Melissa była gotowa do wyjścia.

Widok siedzącej przy biurku w salonie i piszącej coś Natalie zaskoczył ją i zdziwił; Cisza panująca w domu zdawała się dotąd wskazywać, że wszyscy jeszcze śpią.

- Dzień dobry - powiedziała Melissa, stając w drzwiach.

Natalie szybkim ruchem zdjęła okulary.

- Czy nie wychodzisz zbyt wcześnie? Nie zjadłaś nawet śniadania.

- Trudno pozostawać w domu, gdy tyle rzeczy jest do zobaczenia - odparła Melissa, zakłopotana cokolwiek troskliwością siostry Briana.

- Jeśli poczekaś minutkę, obudzę brata, który zapewni ci towarzystwo. - Natalie uśmiechnęła się, ale bruzda pomiędzy jej brwiami pozostała. - Doprawdy, wierz mi, zaraz tu się zjawi.

Nagle Melissa zrozumiała. Po jej wczorajszej eskapadzie Natalie dręczyła obawa, że znowu mogłaby wplątać się w jakieś niejasne przygody.

- Dziękuję, ale to naprawdę zbyt cenne. Brian ma na pewno ciekawsze plany na dzisiejszy dzień niż opiekowanie się mną.

- Prosił mnie, abym go obudziła - upierała się Natalie, wstając od

biurka i kierując się ku schodom.

- Wrócę dostatecznie wcześniej, by zdążyć na bal - obiecała Melissa, znużona tym zakamuflowanym sporem. - Życzę miłego dnia - rzuciła od drzwi wyjściowych.

Nie potrzebowała ani Jeremy'ego, ani Briana. Niebo raziło błękitem, powietrze zachwycało świeżością, a słońce niepodzielnie już panowało nad ziemią. Delikatny wietrzyk bawił się jej włosami - tymi, które wymknęły się spod zielonej wstążki.

Melissa wybrała się na obchód sklepów. Jej hobby i słabością były różne starocie. Nie komody i krzesła w stylu Ludwika takiego lub takiego, lecz drobna biżuteria, przedmioty kuchenne czy lalki ze szklanymi oczami i burzą loków na głowie.

Poszcęściło się jej i odkryła Uroczy sklepik, gdzie w rogach i na półkach zalegał siwy kurz, a właściciel próbował sprzedać jej wszystko, co miał. Kupiła tylko szklany przycisk do papierów, w którym szalała wieczna śnieżyca. Jednak na oglądaniu pozostałych cacek i bibelotów, później zaś przeszukiwaniu innych sklepów upłynął jej cały ranek.

Nie czuła głodu, a na powrót do domu nie miała ochoty. Z niewielkiej oddali przywoływało ją morze. Ten upalny dzień, który wsączał w ciało lenistwo, ofiarowywał niepowtarzalny urok samotnej włóczęgi.

Dotarła do plaży i usiadła na skalnym występie. Z prawdziwą przyjemnością obserwowała szybujące mewy, które nurkowały w spienionych fałach w pogoni za pożywieniem. Gdyby pomyślała o kupnie bloku papieru rysunkowego i pudełka węgla drzewnego, mogłaby teraz utrwalić ten widok, a szkice zachować na pamiątkę.

W pobliżu nie było żywej duszy, lecz nagle poczuła, że jest obserwowana. Mogła oczywiście się mylić, niemniej wrażenie to opanowywało ją z coraz większą siłą. Chatę Eliego, która stała gdzieś wyżej na prawo, skrywały skały, wydmy i pochylone od morskiego wiatru karłowate drzewa. W pewnej odległości siedział na plaży mężczyzna z dzieckiem, ale byli zbyt zajęci budowaniem fortów z piasku, by zwracać na nią uwagę.

Przebiegła wzrokiem pozostałą część płaskiej plaży, po czym spojrzała w górę, ocieniając oczy ręką, ku półce skalnej. Jakież było jej zaskoczenie, potwierdzone szybszym biciem serca, gdy zobaczyła na tle nieba postać mężczyzny. On również patrzył na nią. Jeremy York obserwował ją ze swej podniebnej wysokości.

Wiatr targał jego włosami niczym czarną; flagą i opinał na harmonijnie i silnie zbudowanym ciele koszulę i luźne spodnie. Pomimo znacznej odległości, Melissa miała wrażenie, że na jego twarzy maluje się wściekłość.

Zdecydowana, że nie da się zastraszyć żadnymi groźnymi minami, uśmiechnęła się i pomachała mu na powitanie ręką. Zachowała się po prostu tak, jakby byli serdecznymi przyjaciółmi.

Nie odmachał jej ani też nie odszedł. Stał w bryzie od morza, jakby rozmawiał z wiatrem, choć niewątpliwie zobaczył jej znaki.

Krzyk dziecka odwrócił uwagę Melissy. Spojrzała na plażę. Ojciec próbował oswoić z chłodną wodą. swego maluszka, on zaś wrzeszczał i zapierał się z całych sił nogami.

- Nie bój się, głuptasku. Nie ma tam rekinów ani wielorybów, które mogłyby cię połknąć.

Kiedy z powrotem przeniosła wzrok na skałę, zobaczyła jedynie błękit nieba. Jeremy zniknął niczym postać z sennego urojenia. Przeszukała cały ostróg i prócz ptaków nie zauważyła niczego, co by było żywą istotą. Lecz chyba, na Boga, nie przywidziało jej się wtedy?

Zanim zdążyła podjąć jakąś decyzję, impulsywnie ruszyła ku skale i chwytając się ostrych występów zaczęła wspinać się po stromej pochyłości. Dopiero w połowie zbocza uświadomiła sobie, że mogła wybrać drogę dużo łatwiejszą. Spoglądając w dół, zobaczyła pod sobą kilkunastometrową przepaść. Rozsądek nakazywał odwrót. Zmieniała właśnie pozycję ciała, kiedy poślizgnęła się i zachwiała. Rozpaczliwie poszukała dłońmi jakiegoś uchwytu. Natrafiła na jakiś wąty krzaczek i chwyciła się go. Jedno pociągnięcie wyrwało go z korzeniami. Poczuła, że zsuwa się i zahacza ubraniem o ostre występy. Spadała coraz szybciej. Zamknęła oczy i w pełnej strachu ciemności uderzyła mocno o piasek.

Jęknęła bardziej z irytacji niż z bólu. Leżała bez ruchu, myśląc o tym, że za chwilę będzie musiała upewnić się, czy nie jest ranna.

- Czy nic się pani nie stało? - dobiegł ją z góry męski głos.

Jeśli w tej chwili stał nad nią Jeremy, to była zdecydowana nie odzywać się ani słówkiem. Ten okropny mężczyzna ponosił winę za wszystko. To przez niego zjechała z tej skały jak worek kartofli.

- Jasny gwint. Proszę odpowiadać. Czy jest pani ranna?

Tak, to był Jeremy. Nie mogła nie poznać tego sposobu mówienia, które przypominało warczenie.

- Czuję się świetnie. Czy mógłby pan stąd odejść?

- Co za akrobacje pani wyczynia?

- Badam florę i faunę - rzuciła, całą uwagę skupiając na próbie uwolnienia włosów, które zaczepiły się o jakieś paskudztwo.

- Ja to zrobię. - Klękając otarł się kolanem o jej zębra. - Obawiam się, że nie uratujemy wstążki.

- Och! Proszę zapomnieć o wstążce i zająć się włosami.

- Przepraszam. Jest pani wolna. Wstajemy.

Wsunął ręce pod jej uda i plecy, i uniósł niczym piórko. Następnie postawił ją na nogi, ona zaś odskoczyła, jakby sparzona intymnością tego bliskiego kontaktu.

Nerwowo zaczęła otrząpywać spodnie. Były rozdarte na długości całej łydki. Zniszczyła je, zanim jeszcze zdążyła się w nich nachodzić. Miała ochotę przeklinać własną głupotę.

- Podrapała pani twarz - powiedział, wyciągając rękę.

Cofnęła się i sama dotknęła bolącego miejsca na brodzie.

- Drobnostka.

- Każdego dnia jakaś przygoda. Pogratulować. Jego oczy migotały czernią.

- Lubię wspinaczki.

- Trzeba było wybrać ścieżkę.

- Szłam do chaty Eliego.

- Ma się rozumieć. Tylko że obrała pani zły kierunek.

- Szłam na intuicję.

Ta krótka wymiana zdań odebrała jej całą odwagę. Poczwała nagle



pragnienie ucieczki.

- Ja również tam idę. Możemy więc iść razem. Ale Melissa, zamiast ruszyć w drogę, upadła na kolana. Jej przycisk do papierów!

Wypuściła go z ręki, gdy straciła równowagę.

Znów jakieś ekstrawagancje?

- Proszę iść przodem. Dogonię pana, Przeszukiwała piasek i kępy traw, zaglądała do każdego zagłębienia.

- Czy szuka pani czegoś?

Zobaczyła swój skarb. Leżał sprytnie ukryty za kamieniem. Dotknęła dłonią idealnej gładzi szkła. Cacko było całe i nawet nie porysowane.

- Mój prześliczny przycisk do papierów, moja wieczna śnieżycyca - powiedziała z radosną czułością w głosie.

- Nosi pani na plażę przycisk do papierów? Wydawał się całkiem zbity z tropu.

- Tak. To znaczy niezupełnie. Patrzy pan na miniaturową kamerę, a ja jestem szpiegiem obcego mocarstwa. Bo trzeba panu wiedzieć, że cały świat z zapartym tchem oczekuje wieści z uroczystości rocznicowych w Sandgate.

Jego uśmiech połową ust miał teraz w sobie niewątpliwy urok, tym bardziej że popołudniowe słońce przydawało złocistego połysku jego opalonej twarzy. Ale Melissa nie czuła się oczarowana. Widziała wczoraj mniej rozbijającą stronę osobowości pana Jeremy'ego Yorka, to zaś nie mogło nie zarazić jej pewnym sceptycyzmem.

- Powinienem właściwie zabrać pani mikrofilm.

- A więc najpierw obszukać mnie, czy tak?

W tej samej chwili, gdy rzucała to nierozważne wyzwanie, pożałowała tego. Jego badawcze spojrzenie spoczęło najpierw na jej piersi, by następnie prześlizgnąć się po całym ciele. Odczuła falę ciepła.

- Nie ma potrzeby - powiedział. - Wystarczy samo optyczne zbadanie obiektu.

I faktycznie wystarczyło. Kiedy bowiem poszła za jego wzrokiem i

spojrzała na siebie, zobaczyła ze zgrozą, że nie tylko spodnie ma rozdarte. Jej koszula pozbawiona była wszystkich guzików i odsłaniała różowy biustonosz oraz nie mniej różowy kawałek brzucha.

Roześmiał się, widząc jej nieszczęśliwą minę.

- Co za skromność! Nie odsłoniłaby pani. więcej nawet w swoim bikini.

- Nie noszę bikini - skłamała.

- Wielka szkoda.

- Może już pójdziemy? - zaproponowała energicznym tonem, wiążąc na brzuchu końce koszuli.

- Oczywiście.

Kiedy odwrócił się, przemknęła jej przez głowę myśl, że z tyłu wygląda równie interesująco jak z przodu. Zaraz jednak zarzuciła sobie, że to absurd, bo cóż ostatecznie może być interesującego w plecach czy karku kogokolwiek...

Obawiając się ciszy, zaczęła opowiadać mu o swojej dzisiejszej wędrowce po sklepach ze starociami i o tym, jak w jednym z nich znalazła ten oryginalny przycisk do papierów.

- A jak pana sprawy w Westerly? - zapytała w pewnym momencie, chcąc, żeby wiedział, że pamięta o jego wczorajszym zaproszeniu, którym najpierw zawrócił jej w głowie, a z którego później się wycofał.

- Przedstawiają się prawie tak, jak oczekiwałem. Mówiąc to, odsunął z jej drogi zwisającą gałąź. Jak gdyby nie była już dostatecznie rozczochrana, żeby obawiać się o swoją fryzurę.

- Dziękuję - odparła cichym głosem, w głębi duszy rozczarowana jego odpowiedzią.

Wskazał przed siebie ręką.

- Tam stoi chata Eliego. Wciąż nie rozumiem, jak mogła pani pomylić drogę. Jest tu mnóstwo znaków orientacyjnych. Chociażby tamten restauracyjny pawilon, w którym wczoraj byliśmy.

- Zdaje się, że zapomniał pan o wczorajszej mgle.

- Więc tym bardziej...

- Czy to zresztą takie ważne? Jeśli chcę poznać Eliego, muszę dotrzeć do jego chaty jak najszybciej. Inaczej zabraknie mi czasu, aby przed balem zrobić się na bóstwo.

Prześlizgnęła się obok niego i poszła przodem, nie chcąc, by nadal drażył temat zbrodni i jej fatalnie zakończonej wspinaczki.

Eli Campbell okazał się przeciwieństwem tego nieufnego i nieprzystępnego samotnika, jakim go sobie wyobrażała. Nie był nawet szczególnie zaskoczony jej wizytą, a jeśli zdumiał go jej wygląd ofiary wypadku samolotowego, pozostawił ten fakt bez komentarzy. Dobijał do sześćdziesiątki, miał posiwiałe włosy i jasne oczy. Drobnej budowy, tonął w swojej kraciastej koszuli i roboczych spodniach z grubego perkalu.

- Przyszła pani zobaczyć Murphy'ego, czy tak?

- A kto to jest Murphy? - zapytała.

- Imiona muszą pasować do ich właścicieli. Murphy oznacza „wojownik mórza i oceanów” i, moim zdaniem, pani ptak nie mógłby być trafnie ochrzczony.

- Czy pan, doktorze, nadaje imiona wszystkim ptakom?

- Każde stworzenie, w którym bije żywe serce, posiada jakąś indywidualność, która zasługuje na wyróżnienie. - Wziął ze stołu gruby, podniszczony zeszyt i pomachał nim. - Wszystkie są tutaj. Przez ostatnie lata leczyłem więcej skrzydlatych stworzeń niż jest ziaren piasku na plaży lub szyszek w lesie. Każdy przypadek został tu odnotowany. Nawet przypadki najbardziej zasmucające, bo zakończone śmiercią. - Pociągnął nosem. - A teraz pokażę pani moich obecnych lokatorów i stołowników. Niektórzy z nich niebawem już stąd wyfruną.

- Czy mogłabym najpierw doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku? - zapytała Melissa przepraszającym tonem. - Miałam małą przygodę na stoku skalnego cypla.

Eli kiwnął głową.

- Łazienka jest za tamtymi drzwiami.

- Ta pani zna drogę - skomentował Jeremy, nalewając wody do czajnika. - Zbadała teren już wczoraj.

Nie wzięła ze sobą kosmetyków, więc tylko umyła twarz pod bieżącą wodą. Włosy związała gumką, którą znalazła na klamce u drzwi. Agrafka, którą również pożyczyła od właściciela tego domu, posłużyła jej do spięcia rozdartej nogawki. Na koniec rzuciła okiem w lustro i zmarszczyła nos. Czy to ważne zresztą, jak wygląda? Murphy zaakceptuje ją, nawet gdyby nie miała ani jednego zęba.

Obchód ptasiego szpitala okazał się prawdziwym przeżyciem. Doktor Eli z entuzjazmem wspartym fachowością opowiadał o każdym pacjencie, jego chorobie i okolicznościach, w jakich trafił tutaj. Spał imionami. Keegan oznaczał „ognisty”, Asta kojarzyła się z gwiazdą, zaś Irving to „przyjaciel, który przybył z morza”.

- Myślę, że prędko zaprzyjaźnimy się, Melisso - powiedział w pewnym momencie Eli Campbell. - W tych dniach przyda się zresztą dodatkowa para rąk. Jeremia, pokaż jej, jak karmi się te maleństwa. A potem naprawimy klatkę Gallaghera i Frey.

Jeremy wyjął z lodówki miseczkę z czymś, co przypominało pokarm dla psów. Dodał odrobinę wody, po czym całość ugniół na papkę. Kiedy zbliżył się do gniazd z pisklętami, one z piskiem otworzyły dzióbki na całą szerokość. Wkładał w nie karmę wykałaczką.

- Proste, prawda? - zwrócił się do Melissy. - One myślą, że jestem ich matką. A teraz pani kolej.

- Nie wiem, czy potrafię.

Z lękiem wzięła wykałaczkę. Pisklęta były tak delikatne, tak łatwo było je skrzywdzić.

- Śmiało.

Położył dłoń na jej ramieniu. Poczwała na policzku ciepło jego oddechu.

Drżącą ręką próbowała naśladować ruchy Jeremy'ego. Co będzie, jeśli włoży do któregoś dzióbka wykałaczkę zbyt głęboko?

- Czy tak?

- Doskonale. Pogratulować. Otrzymuje pani tę posadę.

Kiedy Melissa karmiła różowe i beżowe maleństwa, Jeremy naprawiał klatkę i rozmawiał z przyjacielem. Wymieniali na

poważnie różne zabawne uwagi. Melissa słuchając ich śmiała się pod nosem, a kiedy dziatwa została nakarmiona, wymieniła papiery na dnie klitek i napełniła karmniki.

W końcu we trójkę zasiedli do biszkoptów i kawy.

Czas zleciał im szybko na opowiadaniach Eliego o ptakach i o jego profesji.

- Niebawem znowu tu wpadnę - przyrzekła Melissa, żegnając się.

- Będiesz zawsze mile widziana, młoda damo - zapewnił ją ptasi doktor. - Lecz ty, Jeremiah, trzymaj się stąd z daleka. Nie chcę, abysъ zdzierał dla mnie zelówki. Moja noga ma się coraz lepiej.

- Do jutra - odparł krótko Jeremy York.

- Chyba że zjawisz się z młodą damą. - Zachichotał. - Mam serdecznie dość twojego suszenia mi głowy.

Zdaje się, pomyślała Melissa, że starszy z mężczyzn próbował odegrać rolę swata. Było to trochę krępujące, ale w sumie miłe. Poznała dziś Jeremy'ego od tej lepszej strony. Być może całe wczorajsze nieporozumienie było tylko jedną wielką dziecinadą. Droga do domu wolnym krokiem mogła im zająć około kwadransa. W tym czasie wiele może się zdarzyć, jeżeli dwojgu ludziom zależy na wzajemnym poznaniu.

Nagle nad ich głowami rozległ się trzepot skrzydeł. Spojrzeli ku niebu. Szara pierzasta kula mknęła w kierunku zwartej ściany drzew.

- Jestem ciekawa, czy to pacjent Eliego? - Być może.

Chciała zapytać o ptasiego doktora. Jego samotniczy tryb życia zaciekawiał ją. Eli był człowiekiem serdecznym i otwartym na innych, spragnionym ich towarzystwa. Z pewnością musiał rozmawiać ze swymi skrzydlatymi lokatorami. Przyjaciel, jeśli Jeremy był naprawdę jego przyjacielem, powinien był już dawno pomóc mu uporać się ze zgryzotą i wrócić do świata zwykłych ludzi.

Zanim jednak zdążyła ubrać myśli w słowa, Jeremy stanął i odwrócił się ku niej. Czują; że chce powiedzieć coś istotnego. Czekala, i to oczekiwanie przypominało jej jak gdyby wspinaczkę po nagim pniu wysokiego drzewa.

- Czy ma pani swój przycisk do papierów? Zamiast odpowiedzieć, wstrząsnęła na jego oczach szklaną kulą, wzniecając śnieżną zamieć.

- To dobrze. A czy trafi pani z tego miejsca do domu?

- Oczywiście. - Próbowała zachować pogodną twarz.

- Jest pani tego pewna? - Zmarszczył czoło.

- Jak niczego innego na świecie - odparła przez zaciśnięte zęby.

- W takim razie do widzenia.

- Do widzenia - powtórzyła za nim jak echo i skierowała się ku plaży.

Oto, co zostało z ich rozmowy, podczas której mieli bliżej się poznać! Oto wspólny piętnastominutowy spacer, na który tak bardzo liczyła!

Na szczęście, kiedy weszła do domu, Natalie odwrócona była plecami do drzwi, co zresztą uratowało ją przed atakiem serca. Melissa przemknęła przez hol i wbiegła cichymi susami po schodach. Drzwi do pokoju siostry były uchylone. Arlene leżała na łóżku z oczyma utkwionymi w sufit. Na widok Melissy gwałtownie poderwała się na nogi.

- Miałaś rację, Mel. Udział w tej maskaradzie był straszną pomyłką. Natalie okazała się Attylą w spódnicy! Spójrz!

Melissa z lękiem odwróciła głowę, lecz ujrzała tylko koronkową, różową suknię, która wisiała na drzwiach wmurowanej w ścianę szafy.

- Jaka ładna.

- Ładna? A czy ty chciałabyś ją włożyć? Tę koronkową kcliwość z epoki pierwszych miesiączek? Bo moje stroje, zdaniem tego tyrana, są zbyt wymyślne i sztuczne. Zbyt sztuczne!

Melissa stłumiła westchnienie.

- Być może suknia nie należy do tych, które chciałabyś widzieć w swojej szafie. Ale nie zapominaj, maleńka, że jesteś teraz Jean Kerr. Córka Natalie ma siedemnaście lat i jej matka próbuje cię w ten sposób odmłodzić.

- Wcale nie wyglądam młodziej w tym szkaradztwie, na pewno zaś brzydko i śmiesznie.



Ostatnie słowa Arlene wypowiedziała drżącymi wargami.

Zazwyczaj Melissa potrafiła pocieszyć i uspokoić siostrę, ale teraz tylko westchnęła i potrząsnęła głową.

- Cóż za różnica, co sobie pomyślą inni. Gdy wyjedziemy z Sandgate, nigdy już ich nie zobaczymy.

- Mylisz się. Poznałam kogoś na wczorajszym bankiecie. - Sięgnęła po papierową chusteczkę i wytarła nos. - Kogoś bardzo wyjątkowego.

- Cóż można powiedzieć o kimś, z kim zamieniło się kilka zaledwie słów?

Arlene buńczucznie zadarła głowę.

- Panna Niewiniątko. Widziałas Briana zaledwie parę razy, a wasza wczorajsza rozmowa pod moimi drzwiami niczym się nie różniła od balkonowej sceny z „Romea i Julii”.

- Powinnaś była urodzić się w innej epoce, siostrzyczko.

Dostrzegasz romans nawet w pizzy z papryką.

Arlene ponownie rozpostarła swoje piękne ciało na łóżku i poklepała dłonią materac.

- Siadaj i pozwól mi opowiedzieć sobie o tym mężczyźnie. Jest bardzo dowcipny i przystojny, i bezpośredni, i...

- Dość tej rozmowy. Przecież muszę jeszcze przygotować się na dzisiejszy bal.

Melissa wiedziała, że jej młodsza siostra odkochuje się równie prędko jak się zakochuje i że żaden jeszcze mężczyzna nie wyparł z jej serca pierwszej i najgłębszej miłości - muzyki.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Melissa zatrzymała się z dłonią na klamce drzwi.

- W jakiej sprawie?

- Że jakoś wpłyniesz na Natalie, abym nie musiała ubierać się w tę kreację z Disneylandu.

Arlene wyglądała w tej chwili jak zadowolony z siebie berbec.

- Arlene!

- Sza! - Dziewczyna przytknęła palec do ust. - Jestem Jean, nie zapominaj. I lepiej pospiesz się. Przypominasz stracha na wróble.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Więc Jean upiera się, że nie włoży tej sukienki, mimo iż kupowała ją razem ze mną? - zapytała Natalie, machając rękami, aby przyspieszyć wysychanie lakieru na paznokciach.

- Uważa, że sukienka jest dla niej zbyt podlotkowata. Mówiąc szczerze, zgadzam się z nią.

Natalie uniosła cienką jak pajęczyna brew. Miała już umalowaną twarz i jej powieki błyszczały niczym szczerze złoto.

- Rzecz dziwna, iż dopiero po rozmowie z tobą Jean odkryła, że coś jej się nie podoba w tej sukience.

- Nie chciała sprawiać ci przykrości. Natalie chłodno roześmiała się.

- Wzruszające. Czy to nie ty, Melisso, zdecydowałaś dotąd za nią? A teraz z przykrością stwierdzasz, że Jean wyzwała się spod twojego wpływu.

Melissa poczuła, że burzy się w niej krew.

- Sukienka ciągle posiada metkę. A jeśli zachowałeś rachunek, to nie będzie żadnych problemów z jej oddaniem. Mogę zresztą wziąć to na siebie.

- Wiem, że możesz, ale poza tym chcesz wmówić Jean, że każdy jej wybór jest zły, o ile został dokonany bez twojej wiedzy i aprobaty.

- Nonsens. Gdybyś tylko...

- Ma się rozumieć, nie mogę zmusić jej do niczego, a więc również do założenia tej sukienki. Tym razem wygrałaś, - Natalie podniosła głos, by zagłuszyć protest Melissy. - Ale od dzisiaj proszę pamiętać, że nie jesteś tu pełnoprawnym gościem. I przestań wtrącać się w nasze sprawy.

- Czyżbyś sugerowała, że...

- O niczym więcej nie chcę słyszeć. - Natalie wstała i nacisnęła skronie palcami. - Nie pozwolę, abyś codziennie wyprowadzała mnie z równowagi.

- Usiłuję...

- Moje piękne panie! Czas biegnie, a wy nie osiągnęłyście jeszcze wyżyn elegancji.

Brian wpadł do pokoju niczym drugoplanowa postać w sztuce teatralnej, która zawsze pojawia się w kulminacyjnym momencie, aby przerwać pojedynek lub pchnąć akcję w innym kierunku. Jego wesołe słowa w żaden sposób jednak nie odpowiadały badawczemu spojrzeniu.

- Unikam stosowania gwałtu - powiedziała półgłosem Melissa, kiedy Natalie wyszła pośpiesznie z pokoju - ale innym razem tak nią potrząsnę, że wylecą wszystkie szpilki z tej jej wymyślnej fryzury.

- Innym razem, zgoda - powiedział Brian. - A ja gotów jestem nawet zapłacić za możliwość oglądania tej sceny. Ale dzisiaj... przedstawienie musi przebiegać bez zakłóceń.

- Co ja właściwie tu robię?

- Opiekujesz się siostrą i ofiarowujesz mi przyjaźń. Czy mogłabyś zapomnieć o tym, co przed chwilą wydarzyło się w tym pokoju? Dla dobra Jean.

Melissa ucisnęła wyciągniętą ku niej dłoń.

- Spróbuję.

- Dobra dziewczynka.

Czas faktycznie uciekał i trzeba było iść się przebrać. Melissa za radą siostry włożyła białą sukienkę, dość śmiałą w kroju, ale bardzo twarzową. Odsłaniała jedno ramię, a długi boczny rozporek ukazywał podczas ruchu zgrabną, wabiącą nogę. Skromna opaska z jedwabiu wydobywała czern jej włosów i nefrytową zieleń oczu.

Ona i Arlene opuściły swoje pokoje równocześnie i na korytarzu obsypały siebie komplementami. Młodsza z sióstr miała zlokiwane włosy, zaś jej turkusowa sukienka przypominała rzymską togę. Srebrne rzemyki sandałów harmonizowały ze srebrnym paskiem wokół talii. W triumfie swych dziewiętnastu lat, Arlene wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

Melissa musiała przyznać, że Natalie, mimo iż tyle lat od nich starsza, również wyglądała czarująco. Czarna tafta jej sukni opinała ją niczym druga skóra, by wybuchnąć na wysokości kolan sutą

falbaną. Można było tylko podziwiać doskonale zgrabną figurę tej niemal czterdziestoletniej kobiety. Jej jasnoorzechowe włosy, proste i gładkie, ujęte były spinką ze złota i pereł.

Brian, który w swojej białej smokingowej marynarce prezentował się bardzo elegancko, wydał na widok swoich trzech pań przeciągły gwizd podziwu.

- Ależ drogi wujaszku - powiedziała Arlene, łaskocząc go pod brodą - jesteś nas całkowicie godny. Masz zapewniony taniec u swojej biednej, małej siostrzenicy.

- O ile przepchnę się przez tłum wielbicieli. Wsiedli do samochodu i po kwadransie dojechali na miejsce. Strażnik w budce, zanim ich przepuścił, spytał najpierw o ich nazwiska. Na końcu wysadzonej drzewami alei stał dom, w którym oświetlone były wszystkie okna. Kiedy wysiedli na zwirowym podjeździe, chłopak w czerwonej marynarce wsunął się za kierownicę i odprowadził wóz na parking. Powitały ich dźwięki „Smoke Gets in your Eyes” i towarzyszyły im do samego ganku.

Natalie, przepuszczając „córkę” przed sobą, przyoblekła twarz w czarujący uśmiech i weszła przez szerokie drzwi. Natychmiast też wpadła w wir pocałunków i uścisków. Brian i Melissa pozostawieni zostali sami sobie.

Gospodynią okazała się starsza pani o poprzetykanych siwizną czarnych włosach i bladej karnacji. Jej zieloną suknię zdobił ogromnych rozmiarów szmaragdowy naszyjnik.

- Natalie - rzekła witając się - ależ ty nic się nie zmieniłaś!

- Dziękuję, pani Havelock - odparła Natalie bardziej niż wylewnie, jakkolwiek Melissa mogłaby pójść o zakład, że sądząc z tonu głosu starszej kobiety uwaga ta nie została pomyślana jako komplement.

Następnie pani Havelock, tym razem szczerze, pochwaliła urodę Jean, by na koniec zwrócić szkła swoich srebrnych okularów wprost na Melisę.

-A to druga twoja córka?

- Och nie! Melissa Brandon jest w Sandgate gościem mojego brata, Briana. Nie wiem, czy pani pamięta go. Miał zaledwie kilka lat, kiedy

wyprowadzaliśmy się stąd.

Melissa wbiła paznokcie w dłonie, by nie roześmiać się w głos na widok straszliwego zmieszania, z jakim Natalie przyjęła wyrządzoną jej zniewagę. Zobaczono w niej matkę dwudziestokilkuletniej kobiety!

Szukając wzrokiem siostry, która nagle zniknęła gdzieś w tłumie rozbawionej młodzieży, Melissa w pewnym momencie poczuła, że ponownie wbija paznokcie w dłonie, lecz tym razem z zupełnie innego powodu. Natrafiła oto na wpatrzone w nią oczy Jeremy'ego Yorka.

Nie poddała się jednak tej pierwszej reakcji. Z pomocą przyszedł jej zmysł poczucia humoru. Rozejrzała się po otaczających ją twarzach. Wszyscy wydali się źle obsadzeni w swych rolach. Natalie, która manierycznie grała rolę kochającej matki, i Brian, który w muszce i sztywnym kołnierzyku koszuli wyglądał jakby kij połknął. Sama zresztą Melissa zachowała się przed chwilą niczym nastolatka, oczarowana do nieprzytomności mężczyzną, w którym zobaczyła podobieństwo do jakiegoś aktora filmowego czy piosenkarza. Niewątpliwie kiedy wszystko to się skończy, ona i Arlene będą miały tysiąc powodów do śmiechu.

- Jeremy, drogi chłopcze - zawołała pani Havelock - Natalie jest tutaj.

Podszedł z poważną twarzą i przywitał się.

- Upłynęło dużo czasu.

- Zbyt dużo - odparła Natalie słabym głosem. Było jasne, że ci dwoje nie są sobie obcy i że ich znajomość nie jest powierzchowna.

- A to jest Melissa Brandon - kontynuowała prezentację pani Havelock. - Przyjechała do Sandgate, by uczestniczyć w naszym święcie.

- Ja i panna Brandon spotkaliśmy się już, lecz muszę przyznać - popatrzył na nią tak badawczo, jakby próbował zgadnąć jej wagę - że ledwie co ją dzisiaj poznaję.

- Pan też nielecho się zmienił - odparowała. Wyglądał sztucznie, a nawet trochę pompatycznie.

Stanowczo wołała go z rozwichrzonymi włosami i w bawełnianej koszuli, niż tak przyznanego i w garniturze. Z oczu Natalie posypały się skry.

- Nie powiedziałaś mi ani słówkiem, Melisso, że podczas swoich nocnych włóczęg zawierasz znajomości.

- Znalazłam na plaży ptaka z przetrąconym skrzydłem. Pan York zaopiekował się nim.

- Cały Jeremy. Zawsze gotów nieść pomoc nieszczęśliwcom. - Rozejrzała się wokół siebie i dopiero teraz spostrzegła nieobecność Jean. - Gdzie jest moja córka? Chciałabym, żebyś ją poznał.

- Tańczy w ramionach Todda - powiedziała pani Havelock. - Nie widziałaś, jak ją porwał?

Pełne niepokoju spojrzenie Natalie poszybowało ku parkietowi i podium dla orkiestry.

- Nie, ale poznaję jej turkusową sukienkę. O, jest tam. Widzisz ją, Jeremy? Czyż nie jest piękna?

Jeremy, zanim odpowiedział, popatrzył na Melisę.

- Twoja córka jest oszałamiającą dziewczyną.

- Dziękuję. Ale nie mów mi, że ten wysoki młody człowiek to Todd, twój malutki braciszek. Był zupełnym berbeciem, gdy wyjeżdżałam stąd.

Jeremy milczał. Nie odrywał spojrzenia od tańczących par.

- Grają mieszankę przebojów Cole'a Portera - zagruchała Natalie, ciągnąc go za ramię. - Nie pozwólmy, żeby nam umknęły.

- Zrób coś dla mnie - szepnął Brian, pochylając się nad Melisą.

- Co?

- Zatańcz ze mną.

- Chętnie.

Sala balowa, zalewana potokami światła z ogromnego kryształowego żyrandola, miała kolisty kształt i ściany obwieszane lustrami w złożonych ramach. Dawało to niepowtarzalny efekt w nieskończoność powielających się odbić i złudzenie ogromnej przestrzeni. Otwarte lustrzane drzwi wiodły do pomieszczenia w rodzaju oranżerii, gdzie wśród drzew tropikalnych, winorośli i



kwitnących pnączy stały stoły zastawione frykasami i napojami. Innym razem Melissa nie odmówiłaby, sobie rozkoszy podniebienia. Ale tego wieczoru nie czuła się głodna. Dlaczego Jeremy dawał jej do zrozumienia, że nie ma ochoty pojawić się na tym balu?

Przyznała niechętnie w duchu, że on i Natalie tworzyli bardzo interesującą parę. Tańczyli jak zawodowi tancerze, lekko i z wdziękiem. Mimo że zatopieni w rozmowie, ani razu nie pomylili kroku.

- Nie wspomniałaś mi, że poznałaś Yorka.

W słowach Briana wyczuwało się szczyptę goryczy.

- A kiedy miałam to zrobić? Działo się tyle innych rzeczy. Zresztą czy to ważne?

- Zdumiewasz mnie. Nie możesz wprost oderwać od niego oczu.

Melissa uraczyła Briana bystrym spojrzeniem.

- Po prostu zaskoczyła mnie jego obecność tutaj. Wyznał w rozmowie ze mną coś w rodzaju pogardy dla tego rodzaju imprez.

- Nie mógł nie pojawić się. Pani Havelock jest jego teściową. To jej przyjęcie, jakkolwiek zostało urządzone w jego domu.

Jego teściowa? Tylko niezmiernym wysiłkiem woli udało się jej ukryć przed Brianem ból rozczarowania. Z drugiej jednak strony powinna była właściwie domyślić się, że jest żonaty. Te nagłe zmiany w jego zachowaniu i to niegrzeczne wręcz wycofanie się z zaproszenia, kiedy dowiedział się, że łączy ją coś z Natalie. Stan małżeński, zaiste, nie zapewnia komfortu flirtowania.

Miłość od pierwszego wejrzenia jest w życiu rzadsza niż w książkach, a przecież w jej myślach o tym mężczyźnie, pomimo tylko dwóch spotkań, było już wiele ciepła i niepokoju.

- Zaskoczyło cię, że jest żonaty? - zapytał ostrożnie Brian.

- Tak. Pasował mi na zaprzysięgłego kawalera.

- Czy zawsze z krótkiego kontaktu wynosisz o kimś tak zdecydowane sądy?

- Mam ten paskudny zwyczaj. - Przygryzła dolną wargę. - Czy to on właśnie porzucił Natalie? - Złękła się swego pytania, ale brnęła dalej:

- Czy to o nim mi wówczas mówiłaś?

- Zgadza się. Biedna Nat nie miała żadnych szans. Trudno sprostać konkurencji bogactwa.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ożenił się dla pieniędzy?

- A jak myślisz? I to nie dlatego, żeby był biedakiem. Bynajmniej. Ale pieniądź działa jak narkotyk. Im więcej go ludzie mają, tym bardziej pożądamy. Yorkowie zawsze lokowali swoje pieniądze w statkach. Kilka pokoleń wstecz oznaczało to proceder szmuglerski. Dziś wszystko przebiega zgodnie z prawem. Przewóz stali, zboża...

- Powiedział mi, że zajmuje się wymyślaniem i konstrukcją różnych mechanicznych atrakcji w wesołych miasteczkach.

- To jego całkiem osobista mania. Stracił na hazardzie i wypłaca się. Ale jaka była to suma, nie wiadomo. Gdyby przegrał milion lub dwa, nawet nie odczułby tego.

- Zdaje się, że nie lubisz go?

- Lepiej powiedz, że jestem zazdrosny.

- Czy pieniądze tak wiele dla ciebie znaczą? Ramieniem, którym obejmował jej talię, przycisnął ją mocniej do siebie.

- To nie pieniądze czynią mnie zazdrosnym, lecz wyraz twojej twarzy, kiedy patrzysz na niego.

- Czyste urojenie.

- Nie sądzę - rzekł o ton za głośno.

- Brian, ludzie zaczynają zwracać na nas uwagę.

- Jeśli mam skłonność do urojeń, udowodnij to. Wybierzmy się na przejażdżkę. To miejsce działa na mnie klaustrofobicznie. Nat zrozumiałaby to. Już pokazaliśmy się, czyli zrobiliśmy wszystko, czego od nas oczekiwała.

- Nie mogę.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Obiecałam mojej siostrze.

- Znowu ona!

- Spróbuj zrozumieć.

Ale on przerwał taniec i ciągnąc ją za rękę zaczął przepychać się przez gęstwą par.

Biedny Brian, pomyślała. To całe udawanie z Natalie i jej córką

musiało wyprowadzić go z równowagi.. I gdyby nie Arlene i Todd, którzy nagle przed nimi wyrosli, w zasadzie była gotowa ukoić jego nerwy.

Arlene aż świergotała z radości i ożywienia.

- Melisso, poznaj Todda. Todd, to jest Melissa. Zatańczcie ze sobą. Dobra okazja, abyście się bliżej poznali. Gdzie wujek Brian ucieka z taką srogą miną? Obiecałam wujkowi taniec i chcę dotrzymać słowa.

Zanim Melissa zdążyła cokolwiek powiedzieć, Arlene odpłynęła porywając Briana.

Todd mógł być bardzo miłym chłopcem. Ale był równocześnie bratem Jeremy'ego i fakt ten utrudniał Melissie obiektywną ocenę jego osoby. Dużo młodszy i szczuplejszy, przypominał brata z oczu i pełnych, kształtnych ust. Nawet barwę głosu mieli podobną.

Zdradzał sporą kulturę osobistą w prowadzeniu rozmowy, mimo że wymieniali stereotypowe uwagi o pracy, pogodzie i Sandgate. Zresztą Melissa była myślami gdzie indziej. Błądziła wzrokiem po sali, pragnąc za wszelką cenę zgadnąć, która z obecnych tu elegancko ubranych kobiet jest żoną Jeremy'ego.

- Czy od dawna znasz Jean? - zapytał Todd. - Odniosłem wrażenie, że ona myśli tylko o tobie. Prawdę mówiąc, ten nasz wspólny taniec miał być czymś w rodzaju akceptacji przez ciebie mojej osoby.

- Tak, znam ją już szmat czasu.

- Jean jest dziewczyną wyjątkową. Czy faktycznie ma tylko siedemnaście lat? Wydaje się nieco starsza.

Na myśl o kolejnym łgarstwie Melissa westchnęła.

- Jest dojrzała jak na swój wiek.

Nie było to całkowite kłamstwo, lecz tylko pół kłamstwa.

- Czy również grasz na pianinie?

- Nie. Ja...

Przerwała widząc Arlene w ramionach innego partnera. Tym razem był to Jeremy. Todd uśmiechnął się.

- Wy dwie macie ze sobą wiele wspólnego. Ona także lubi prowadzić w tańcu.

Melissa wymamrotała przeprosiny. Instynktownie uciekając

przed Jerernym, nieświadomie wiodła Todda na przeciwległy kraniec parkietu.

- Nie ma sprawy - oświadczył z podwójnie miłym uśmiechem. -  
Lubię kobiety kierujące się własną wolą.

Nagle Melissa zadrżała. Jej siostra dawała jej znaki. Następnie oboje zaczęli torować sobie drogę w ich kierunku. W tej sytuacji niemożliwością było uniknąć kontaktu. Zabiję ją, powiedziała do siebie Melissa, kuląc się jak przed ciosem.

- Czas na zmianę partnerów. Melisso, przedstawiam ci Jeremy'ego, brata Todda. I vice versa. Jesteście zresztą starymi przyjaciółmi. A zatem w tany.

- Wygląda na to - powiedział Jeremy, biorąc ją w ramiona - że czy nam się to podoba, czy nie, musimy przetańczyć ten kawałek.

Przemknął jej przez głowę, na zasadzie tajemniczego skojarzenia, obraz tego mężczyzny, kiedy pytał ją, czy posiada kartę wstępu na plażę.

- Nie ma żadnego przymusu.

- Ależ, właśnie jest. Nie widzę powodów, by sprawiać przykrość Jean. Tak szampańsko się bawi.

Cóż, musiała się poddać. Ostatecznie nie umrze od jednego tańca. Ale miała wielką ochotę na mały skandal. Dlaczegoż by na przykład nie kopnąć go w kostkę? I doprawdy, uczyniłaby to, gdyby nie było tu Arlene i gdyby w ogóle nie znajdowały się w dość delikatnej sytuacji. Trzymało ją na wodzy jej własne kłamstwo.

- Tak już lepiej - powiedział, kiedy poczuł, że przestała się opierać.  
- Zresztą wspaniale tańczysz.

Podziękowała, lecz nie odwzajemniła się komplementem. Pewnie już wiedział, że jest dobry, może nawet najlepszy.

W przeciwieństwie do Todda, zuchwale zawładnął jej wolą i wiodł ją po parkiecie labiryntem rytmu i melodii.

Sunąc, czuła się lżejsza i lżejsza. Dotykała udami jego ud, a brzuchem jego brzucha. Na wysokości oczu miała jego zmysłowe, cudownie wykrojone usta. Nagle taniec odsłonił przed nią podobieństwo z aktem miłosnym. Różnica tkwiła w tym, że

wzniecając pragnienie, nie dawał zaspokożenia.

- Czy jesteś bez humoru z powodu kłótni z przyjacielem?

Całkowicie zaskoczył ją tym pytaniem. Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Tak się złożyło - dodał - iż zauważyłem waszą sprzeczkę.

- Więc zauważyłeś coś, co cię nie powinno obchodzić.

- Dobry gospodarz dba o to, by wszyscy jego goście dobrze się bawili.

- To miłe z twojej strony, że leży ci na sercu przyjemność innych. Zapewne każda z obecnych tu pań poczułaby się w siódmym niebie, gdybyś poprosił ją do tańca.

Przycisnął ją mocniej do siebie, nie naruszając jednak granicy tego, co wypada.

- Dlaczego wybrałaś się dzisiaj do budy Eliego? - zapytał z podejrzliwością w oczach i w głosie.

- Chciałam odwiedzić Murphy'ego. - Zrobiła przerażoną minę. - Czy znów pogwałciłam tutejsze prawo? Czy czeka mnie więzienie?

- Być może. Jeśli nie będziesz grzeczna.

- Ależ będę, sir. Proszę mi wybaczyć, sir. Bardzo mi przykro, sir.

- Myślałem, że poszłaś tam dla mnie.

- Jeśli myśl ta sprawiała ci przyjemność, to po prostu przeżyłeś kilka dobrych chwil.

Orkiestra zamilkła, ale on stał na parkiecie w oczekiwaniu na nową melodię. Usłyszeli dźwięki wciąż lubianego przeboju z lat pięćdziesiątych.

- Widziałem cię wówczas na plaży, zanim zaczęłaś wdrapywać się na tę skałę.

- Wiem. Ja też cię widziałam. Patrzyłeś... - Przez chwilę szukała najtrafniejszego słowa. - Patrzyłeś, jakbyś rzucał klątwę.

Roześmiał się.

- Jakbym co?

- Jakbyś chciał samą mocą swojego spojrzenia zepchnąć mnie do oceanu.

Wciąż śmiał się pełnym, szczerym śmiechem, którym naprawdę

mógł zawrócić w głowie. Przypomniała sobie, że Jeremy ma żonę. Pomyślała też, że być może należy do tego typu mężczyzn, którzy lubią być adorowani.

- Informuję cię więc, że myślałem zupełnie o czymś innym.

Słowom tym, wypowiedzianym ze szczególnym, niemal jednoznacznym akcentem, towarzyszyła gra palców poniżej jej pleców.

Postanowiła ukarać tego samozwańczego, domorosłego uwodziciela.

- Gdzie podziewa się dzisiaj pani York?

- Moja matka namiętnie podróżuje. Teraz jest w Hiszpanii.

Dlaczego pytasz?

Melissa smakowała zwycięstwo. Z pewnością wiedział, którą panią York miała na myśli.

- Chodziło mi o twoją żonę. Gzy jest na tej sali? Bardzo chciałabym ją poznać. Jakże musi być wielkoduszna, wiedząc, że dzieli względy męża z tyloma innymi kobietami.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na nią, jakby studiował bardziej maskę niż twarz.

- Kathryn nie żyje od sześciu lat.

Nie mogłaby doznać większego wstrząsu nawet wówczas, gdyby na oczach wszystkich spoliczkował ją. W pierwszym odruchu chciała wyrazić swoje współczucie, ale żadne słowo nie wydawało się tym właściwym.

- Nie wiedziałam.

- Skoro tańczyliśmy poniekąd dla Jean - powiedział szorstkim głosem - myślę, że spełniłmy już swoją misję.

Kiedy odprowadził ją na miejsce i lekkim ukłonem pożegnał się, Melissa poczuła się straszliwie opuszczona. Muzyka wydała się jej nagle za głośna, zaś sala zbyt zatłoczona i duszna. W jej skroniach zaczęło się bolesne pulsowanie. Zanosilo się na atak migreny. Na szczęście zjawila się Arlene.

- I co o nim myślisz?

- Bolesnie go zraniłam.



- Todda? Po tańcu z tobą był w jak najlepszym humorze. Uważa, że jesteś bardzo miła i ładna. Co, przyznaję, zaniepokoiło mnie trochę. Todda rezerwuję dla siebie, Mel.

- Mówiłam o Jeremym.

- Nie martwiłabym się o niego. Myślę, że rany, które mu zadałaś, już się zabiłiły, gdyż przed chwilą w najlepsze gawędził sobie z Natalie. Podejrzewam, że to dla niego moja mamusia wybrała się tutaj.

- Nie byłabym tym wcale zdumiona.

- Dlaczego nie upolowałaś wujka Briana? Zaciągnij go na parkiet, udobruchaj. Jeszcze nic straconego.

- Może później. Ty zaś uciekaj, Jean, i baw się dobrze.

- Mam ten zamiar. Natalie powiedziała mi, że chyba jeszcze dziś wieczór wystąpię z minirecitem. Kilka osób prosiło już o to.

Powiedziawszy to, Arlene odpłynęła, zaś Melissa rozejrzała się za jakimś ciemnym kątem, gdzie mogłaby się ukryć. Wszędzie jednak panował nieopisany ścisk, więc wymknęła się z domu i wysypaną żwirem ścieżką doszła w szpalerze wierzb do uroczej altany w pobliżu niewielkiego stawu.

W ciszy tego zakątka nasilający się w ostatnich minutach ból głowy zaczął powoli słabnąć. Zewsząd dochodził zapach letnich kwiatów, a gwiazdziste niebo przyciągało roz tęskniony wzrok.

Zamierzała właśnie usiąść na ławce nad sadzawką, kiedy stwierdziła, że dwa cienie po prawej stronie nie są bynajmniej drzewami. Najwyżej trzy metry od niej stali mężczyzna i kobieta,

- Nie planowałam tego - powiedziała kobieta suchym głosem. - Nie ponoszę żadnej winy. Czy jesteś rozczarowany?

- Bynajmniej - odparł.

Pod Melissą ugięły się nogi. To był Jeremy z Natalie. Nie zauważyli jej dotąd i oby Bóg dał, żeby się to nie stało. Musiała tylko bezszelestnie wycofać się za żywopłot.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała Natalie. - Nie pozostało dużo czasu.

- Dopilnuję tego.

**Melissa rozpoczęła odwrót. Panicznie lękała się, aby nie padło na nią podejrzenie o szpiegowanie. Krok po kroku, z zapartym oddechem, oddalała się od nich. Nagle jej noga obsunęła się na brzegu mulistego rowu. Padając poczuła przeszywający ból w kostce. Krzyknęła.**

**-Co to było?**

**- Zaraz przekonamy się.**

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czołgając się, Melissa dojrnęła do najgłębszego cienia. Modliła się, aby nie odkryto jej tutaj. Kostka bolała, miała więc obawy, czy zwichnięcie nie jest przypadkiem poważne.

- Nie ryzykuj i nie chodź tam! - zapiszczała Natalie.

- Kto wie, jaki maniak czai się w tych krzakach?

- Kimkolwiek byłby, dam mu radę, nie obawiaj się. Melissa skuliła się, ale wszelkie jej próby pozostania niewidoczną z góry były skazane na niepowodzenie. Jeremy znalazł ją w przeciągu kilku sekund.

- Melissa? Co, na Boga, tu robisz? - zapytał równie zdziwiony, jak ona była przerażona i zawstydzona.

- To chyba... jakaś klątwa - wybuchnęła Natalie, stając tuż za nim. - Znowu ta natrętna dziewczyna.

- Czy nic ci się nie stało? - Ukląkł na trawie.

- Możesz poruszyć nogą?

Melissa, mimo bólu, spróbowała to uczynić, ale tylko jęknęła.

- Proszę wstać, panno Brandon - rozkazała Natalie.

- Zdaje się, że noga jest zwichnięta. Mój przeklęty ogrodnik nie zakopał tego rowu, mimo że od dawna do niczego już nie służy.

- Jak mógł przewidzieć, że ktoś będzie po nocy buszował tutaj. A może w tym ciemnym parku panna Brandon poszukiwała partnera do tańca?

- Dość już, Natalie - przerwał jej Jeremy. Następnie pochylił się nad Melissą. - Zaniosę cię do domu. Obejmij mnie za szyję. O, właśnie tak.

- Chyba nie będziesz jej niósł! Cała powalana jest błotem. Poplamisz sobie marynarkę.

- Do diabła z moją marynarką.

- Pójdę sama, potrzebuję tylko trochę czasu, aby...

- Słyszysz, co ona mówi? Chce iść sama.

- Po raz ostatni proszę cię - warknął Jeremy - abyś zamilkła.

- Nie tam - żalosnym głosem zaczęła błagać Melissa, widząc, że Jeremy kieruje się w stronę frontowych drzwi i balowej sali. - Nie chcę, aby Jean;..

- Zaniosę cię do biblioteki. Nie przejmuj się. Nikt nas nie zobaczy.

Natalie z ironicznym parsknięciem zostawiła ich i oddaliła się ścieżką.

- Tak bardzo mi przykro - wyszeptała Melissa.

- To ja raczej powinienem przepraszać za ten rów. - Weszli do pokoju bibliotecznego, gdzie Jeremy położył ją na kanapie i zdjął jej pantofle. - Wśród gości jest doktor. Zaraz go tu przyprowadzę. A potem odwiozę cię do domu.

- Nie możesz tego zrobić.

Gdyby z jej powodu Jeremy opuścił swoje własne przyjęcie, Natalie mogłaby rozpocząć z nią otwartą wojnę. Melissa nie czuła się na siłach sprostać takiemu wyzwaniu.

Przeczesał palcami włosy, czym wzburzył je i tym samym upodobnił się do tego Jeremy'ego, jakiego zobaczyła po raz pierwszy.

- Nie przywykłaś, by ci mówiono, co masz robić, prawda?

Ból w kostce jakby osłabł i wreszcie jasno uzmysłowiła sobie, co się stało. Poczwała się jak ostatnia idiotka. Nie mogła powstrzymać łez.

- Nie chcę się sprzeciwiać. Doceniam twoją uprzejmość i troskę. Chodzi o to, że... - Jak mogła wszystko mu wyjaśnić, skoro nie wolno jej było powiedzieć prawdy? - Chodzi o to, że nie są to moje najlepsze wakacje. Dzisiejszy wieczór...

- Ani słowa więcej. Twój urlop jeszcze się nie skończył, małeńka. Wciąż można go uratować. Mam też przecucie, że od tej chwili wszystko potoczy się zgodnie z twoimi pragnieniami.

Zdjął marynarkę i rzucił ją na oparcie krzesła. Następnie zluźował krawat i usiadł na podnóżku tuż przy kanapie, na której leżała. Zauważyła, że gors jego koszuli jest poplamiony błotem. Podobnie spodnie. Zanim wróci na salę do gości, będzie musiał wpierw się przebrać. I to ona naraziła go na ten kłopot.

- Twoje ubranie. - powiedziała bardzo cichym głosem.

- W pralni wszystkiemu zaradzają. Natomiast jeśli chodzi o twoją sukienkę, to prognozy już nie są tak dobre.

Poszła za jego wzrokiem. Jej najelegantsza sukienka, którą kupiła kosztem wielu wyrzeczeń, była pomięta, brudna i porwana w kilku miejscach. Na ten widok zupełnie upadła na duchu.

- Nie martw się, kupię ci inną - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Wykluczone. Spowodowała to moja własna głupota.

Zebrała materiał w miejscu, gdzie odślaniał jej nogę aż do pół uda. Przy tym gwałtownym ruchu ból odezwał się ze zdwojoną siłą. Syknęła.

Jeremy zmarszczył czoło.

- Pozwól obejrzeć kostkę. - Najpierw nacisnął nogę w kilku miejscach, a potem poruszył stopą na boki, w dół i w górę. - Wydaje się, że nic nie jest złamane, ale nie jestem doktorem. Konieczne będzie prześwietlenie.

- Jeśli jutro nie poczuję się lepiej, odwiedzę tu jakiegoś lekarza.

- Bzdura. Powiedziałem, że biorę to na siebie.

- Nie! - wykrzyknęła. Przymknął jedno oko.

- Czy tylko „nie” potrafisz mówić?

- Naprawdę, wszystko będzie dobrze. Już raz wykręciłam nogę w kostce, i to o wiele poważniej.

- Nie dziwię się, skoro lubisz wspinać się po stromych skałach i zakradać do ogrodów nocą. Powiedz mi, co tam właściwie robiłaś?

Pytaniem tym nasunął jej przed oczy tamtą scenę nad sadzawką, gdzie on i Natalie stali w mroku przytuleni do siebie. Czy czasami nie próbował wysondować jej, co zdołała zobaczyć i usłyszeć?

- Być może jestem kobietą-kotem - odparła z nutką sarkazmu i zarazem humoru - która nocami wychodzi na poszukiwanie łupu?

- Być może - zgodził się, kapitulując przed tym absurdem. - A skoro o kotach mowa, to faktycznie masz w sobie coś kociego. Widać to w twoich oczach, w sposobie poruszania się, a przede wszystkim w tym, że atakujesz bez ostrzeżenia.

- Muszę jednak ze wstydem przyznać, że brak mi kociej gracji.

- A może mnie również przemieniłabyś w kota? Powiedzmy, za pomocą magicznego dotknięcia.

- Może.

- A za pomocą pocałunku? - wyszeptał. Poprawiła się na obitej skórą kanapie, chcąc przyjąć wygodniejszą pozycję, i zarazem ustanowić większy dystans między sobą a Jeremym.

- Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Jest piękna noc, i to ona właśnie zachęciła mnie do tej krótkiej przechadzki po ogrodzie. Nie ma w tym ani żadnej tajemnicy, ani, mam nadzieję, zbrodni.

- Czy zawsze reagujesz obronnie, jak przed chwilą?

- Nie... nie zawsze.

- A więc to ja sprawiam, że dostrzegasz konieczność obrony?

Zrozumiała pytanie i postanowiła dać szczerą odpowiedź. - Tak.

- Hmm, zdaje się, że nie świadczy to o mnie najlepiej. Ale powiedz mi jeszcze, dlaczego?

Pytał, mimo że musiał znać powody. Chodziło mu więc tylko o czystą satysfakcję usłyszenia tego z jej ust. W samej koszuli, z włosami w nieładzie i w otoczeniu szaf bibliotecznych, dębowych mebli i ścian wykładanych boazerią, prawie upodabniał się do tego mężczyzny, którego spotkała w chacie Eliego. Gdyby tylko mógł być tym mężczyzną. Gdyby tylko nie było Natalie Kerr wraz z jej obłądnym pomysłem zamiany życia w teatralne przedstawienie.

Gdyby tylko...

Nie spodziewała się tego. Drgnęła i gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. Dotknął dłonią jej twarzy. Zaczęła reagować jak najczulszy odbiornik. Dźwięki, zapachy, barwy, każde z tych zmysłowych doznań nabrało nagle trzykrotnej intensywności. Jego dłoń była szorstka, prawie jak dłoń robotnika. Zaskoczyło to ją.

Uświadomiła sobie, że płoną jej policzki, a serce miota się w piersi jak oszalałe.

Czy pamiętała jednak, jak zmiennym podlegał nastrojom? Czy pamiętała, jakim wzrokiem patrzył na nią wówczas ze skały? Czy pamiętała, że jego cień zlewał się z cieniem Natalie w ogrodzie?

- Powiedz mi, dlaczego? - powtórzył pytanie, poruszając tonem



swego głosu jakąś całkowicie nową strunę jej duszy.

- Ponieważ... ponieważ, kiedy mówisz, wydaje mi się, że dużo większą część tego, co myślisz i czujesz, pozostawiasz dla siebie.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza.

- Dlaczego więc nie otworzysz się i nie wylejesz z siebie wszystkiego bez reszty?

Przesiadł się z podnóżka na kanapę i pochylił się nad nią. W pokoju nagle zrobiło się upalnie.

- Oczekujesz ode mnie większej bezpośredniości, czy tak?

- Otwartość i szczerłość nie przynoszą ujmy.

Wsunął dłoń pod jej szyję. Przeniknęło ją drżenie i zawstydzila się tego. Dopiero po sekundzie zorientowała się, że ta zmysłowa vibracja przeszła na nią od niego.

- Roznieciłaś we mnie ogień, maleńka. A myślałem, że już do końca życia będę niczym wystygłe palenisko. Lecz przecież nie jest stosowną rzeczą mówić niedawno poznanej, kobiecie, że pożąda się jej i pragnie się z nią kochać. Nasz świat końca dwudziestego wieku jest wciąż pełen form i ograniczeń. Rytuały zresztą i formy cywilizują społeczeństwa, czyż nie?

- Chyba tak... Nie wiem.

Zaledwie rozpoznała swój głos. Zamknęła oczy i rozchyliła usta. Nie czekała długo. Ta gorąca, zaborcza, wszechpochłaniająca miękkość, która dotknęła jej warg, to były jego cudowne usta, a pocałunek zdawał się nie mieć końca.

Wreszcie oderwał się od niej i wstał, zostawiając po sobie smugę delikatnej pieśczoły na jej szyi, ramieniu i palcach.

- Odwiozę cię do domu - powiedział. - Powinnaś zrzucić tę sukienkę.

- Tak, powinnam - zgodziła się drżącym głosem.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko, maleńka. Wszystko, co stanowi o tobie takiej, jaką jesteś.

- Nie sądzę, abyś znalazł coś nadzwyczajnego. - Już znalazłem. A teraz podniesiemy naszą biedulkę.

- Nie potrzebujesz mnie dźwigać. Potrailę... . Przerwał jej protesty

pocałunkiem.

- Jesteś lekka jak piórko.

- Ale twoje przyjęcie...

- Myślę, że nawet nie zauważą mojej nieobecności. A poza tym są ważniejsze rzeczy.

- Na przykład jakie? - zapytała, uśmiechając się i rozmarzeniem.

- Na przykład...

- Jest tutaj - rozległ się od drzwi piskliwy głos Natalie, która weszła do gabinetu w towarzystwie brata.

Brianowi, widać to było z zaczerwienienia jego twarzy i zaciśniętych szczęk, nie udało się dotąd poprawić humoru.

Przeciwnie, kilka kieliszków alkoholu upodobniło go do zdradzanego męża, który zastał żonę w ramionach kochanka.

- Co to ma znaczyć, do diaska?

- Odwożę Melissę do domu - wyjaśnił Jeremy. - Nie powinna chodzić aż do momentu, kiedy jej nogę zobaczy lekarz.

- Czy nie posuwasz swej uprzejmości gospodarza zbyt daleko, York?

Głos Briana ociekał wręcz zjadliwym szyderstwem.

- Wyjąłeś mi to pytanie z ust - wtórowała bratu Natalie.

- Oni mają rację - odezwała się Melissa. - Czuję się już dobrze. Puść mnie, proszę.

Jak w ogóle mogła dopuścić do tego, by opuszczał gości z jej powodu?

- Ja ją wezmę - warknął Brian, zbliżając się. - Ostatecznie, przywiozłem ją tutaj.

Oczy Melissy i Jeremy'ego spotkały się. Wolałyby nigdy nie widzieć jego spojrzenia. Jej serce zaczęło krwawić. Zanim jednak zdołała wydobyć z siebie choć słowo, została przekazana Brianowi niczym paczka, która wraca do nadawcy.

- Brian, kochanie - zagruchała Natalie, kiedy był już w drzwiach - Melissa potrzebuje dzisiaj wygody i spokoju. Otocz więc ją samą czułością i troską. Biedne małeństwo tak często potyka się o swoje własne nogi.

- Więc nie wracamy razem? - zapytał.

- Nie, ale nie martw się o mnie i o Jean. Dostaniemy się jakoś do domu.

Powiedziawszy to, wsunęła z promiennym uśmiechem rękę pod ramię Jeremy'ego.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dlaczego Natalie próbowała stworzyć wrażenie, że pomiędzy tobą a mną jest coś głębszego? I dlaczego ty na to pozwoliłeś? - zapytała Melissa Briana, kiedy znaleźli się w domu.

- Nie spodziewałem się, że dasz się schwytać na wędkę fałszywego uroku Yorka.

- A na jakiej podstawie sądzisz, że wiszę na jakimś haczyku?

- A czyż nie?

- Nie wiem.

Brian uderzył otwartą dłonią o ścianę.

- Tak właśnie myślałem.

- Próbuję tylko być szczerą.

Usiadła na kanapie i położyła na niej bolącą nogę. Zamknęła oczy.

Jeśli chciała być szczerą z Brianem, to równie dobrze mogła być szczerą z samą sobą. Po przeżyciach dzisiejszego wieczoru nie mogła już zbyć wzruszeniem ramion stanu zmysłowego odurzenia, w jaki wprawiał ją Jeremy. Ale Brian niesprawiedliwie zarzucał mu fałsz. Było kilka jasnych momentów w ich dzisiejszym zbliżeniu, kiedy ich dusze się połączyły. Tego jej przekonania nic i nikt nie mógł podważyć.

- Gzy przygotować ci kąpiel? - zapytał Brian dużo łagodniejszym tonem.

Zanim odpowiedziała, poczekała, aż przebrzmi głos kukułki, odliczającej godzinę.

- Marzę o wejściu do wanny.

Nie miała powodu, aby karać Briana za coś, co było tylko teatralną histerią Natalie i jej oszukańczą kwestią „otocz ją samą czułością i troską”?

Zadowolony z odpowiedzi, Brian uklęknął przy kanapie.

- Posłuchaj, York sprawiłby ci dużo bólu, gdybyś zaangażowała się w romans z nim. A czy myślisz, że zachowałby się inaczej, gdyby żyła jego żona?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz już, że jego i Natalie łączyła kiedyś miłość. Porzucił ją dla małżeństwa z Kathryn Havelock.

- Od tamtego wydarzenia upłynęło już niemal ćwierć wieku.

- Ale nie wiesz jeszcze, że jego małżeństwo nie zakończyło bynajmniej romansu z moją siostrą. Spotykali się jeszcze przez pewien czas w tajemnicy.

- Nie wierzę ci. Nienawidzisz Jeremy'ego i odnoszę wrażenie, że chcesz mnie do niego zrazić.

Ale Brian wydawał się zbyt czymś zraniony, by słuchać jej zastrzeżeń.

- Ludzie tacy jak ty, ja i Nat, to znaczy zwykli ludzie, są dla Yorka tylko narzędziami, których używa, by w jakimś momencie odrzucić je. Nasze uczucia się nie liczą.

- Jest w twojej teorii pewien słaby punkt - przerwała mu. - Natalie nie powinna znajdować się na twojej liście. Jej małżeństwo uczyniło ją przecież bogatą osobą, czyż nie? A bogactwo wyrywa z tłumu zwykłych ludzi.

Parsknął śmiechem.

- Zdaje się, że nie masz o tych ludziach zielonego pojęcia. Dla Yorka i jemu podobnych pieniądze są bardzo ważne, ale zajmują dopiero drugie miejsce w hierarchii. Nowobogackich darzą szczerą pogardą, nazywając ich parweniuszami. Kobieta, która bogato wyszła za mąż, lub pan X, któremu dopisało szczęście, to tylko dorobkiewiczze. Pretendenci na członków klanu arystokracji pieniądza, do którego wstęp jest możliwy dopiero w trzecim pokoleniu stabilizacji majątkowej.

Melissa czuła się zbyt znużona, by podjąć z nim dyskusję.

- Czy mógłbyś napełnić wannę wodą?

- Żałuję, że muszę mówić ci te przykre prawdy. Ale jak Natalie nie była jedynym wybrykiem Yorka przez te minione lata, tak ty nie byłaś jedyną kobietą, którą trzymał dziś w ramionach.

Powinna właściwie przestać słuchać. To zbyt bolało. Zamknęła oczy i wróciła myślami do tamtych chwil z dzieciństwa, kiedy słysząc

krzyki dorosłych chowała głowę w poduszki.

Brian musiał chyba uświadomić sobie, że zagalopował się zbyt daleko, gdyż zamilkł i zaraz poszedł na górę, by przygotować jej kąpiel.

Odświeżona, czekała w łóżku na sen, który zbliżał się nieśpiesznym krokiem. Kiedy jednak wreszcie nadszedł, spała głęboko przez całą noc.

Obudziła się słysząc szmer w pokoju.

Zobaczyła Arlene.

- Och, Missy, powiedziano mi, co się stało. Co z twoją biedną nogą?

- Wciąż jest na swoim miejscu.

Zapominając w jednej chwili o bolącej kostce siostry, dziewczyna skoczyła na łóżko i powiedziała podnieconym głosem:

- Zapowiadają się poważne kłopoty. Natalie uważa, że to, co zrobiłaś, zrobiłaś rozmyślnie.

- Dla mnie to żadna sensacja.

- Jest wściekła również na mnie.

- A to z jakiego powodu? Czyżbyś zagrała wybrany utwór w zbyt wolnym tempie?

- Nie. Chodzi o Todda. Chce, abym trzymała się od niego z daleka. Boi się, że powiem mu prawdę i popsuję jej misterny plan.

Melissa odrzuciła kołdrę i ostrożnie stanęła na nogi. Mogła chodzić, jakkolwiek rozsądek nakazywał obwiązać stopę bandażem elastycznym. Poza tym musiała zejść do kuchni, by zrobić sobie coś do jedzenia. Była głodna. Na balu nie skosztowała ani kęsa z wystawionych tam frykasów.

- A nie uważasz, że obawy Natalie mają realne uzasadnienie? Co będzie, jeśli bliżej zwiążesz się z Toddem? Przecież możesz odgrywać wobec niego rolę Jean tylko do pewnej granicy.

- Już darzę Todda głębszym uczuciem niż jakiegokolwiek dotąd mężczyznę.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

- Jean, jesteś tam? - Rozpoznały głos Natalie. - Tak, jestem. - Arlene zrobiła przedrzeźniającą minę.



- Przypominam, że masz dzisiaj próbę, więc nie siedź zbyt długo.

- Jaką próbę? - zapytała Melissa, kiedy Natalie dała im spokój.

- Kierownik tutejszego domu kultury, w którym ma odbyć się mój piątkowy recital, otwiera dziś specjalnie dla mnie swoją szacowną budę, bym mogła przećwiczyć przygotowany repertuar.

- Miły facet.

- Bardzo miły. Z tym, że ani mi w głowie ćwiczenia. I właśnie w związku z tą sprawą przyszłam do ciebie.

- Mam przeczucie, że muszę usiąść z powrotem, zanim cię wysłucham.

- Oczekuję od ciebie drobnej przysługi.

Todd, wyjaśniała, ma zjawić się tutaj o jedenastej i weźmie Melissę na przejażdżkę. Z kolei ona pozwoli odwieźć się swojej „mateczce” do domu kultury, uda, że wchodzi do środka, a kiedy samochód Natalie zniknie za rogiem, pogna niczym zając do miejsca, gdzie Todd z Melissą będą na nią czekali. Oczywiście, powie wpierw kierownikowi, że w jej planach zaszły pewne istotne zmiany.

- Zastanów się, dziecińco.

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że nie zrobisz tego dla mnie?

- Właśnie chcę to powiedzieć.

- Czyli że boisz się Natalie - skonstatowała Arlene ponurym głosem.

- Czegóż mam się bać, skoro jej wściekłość na mnie nie może być już większa?

- Więc pomóż mi.

- Nie mogę.

Odmawiała z żalem, tym większym zresztą, że nagle zobaczyła w siostrze dojrzałą już kobietę.

- Zawsze mówiłam ci wszystko - rzekła Arlene - i teraz też nie kryję, że Todd myśli o mnie poważnie. Nie kryję również, że podchodzę do życia dość trzeźwo. Mam talent i nigdy nie zmarnowałabym go przez jakieś głupie małżeństwo. Todd zgadza się ze mną. Wszystko, czego chcemy, to być razem. Znienawidziłabym

siebie do końca życia, gdybym wystawiła go do wiatru.

I mnie również, pomyślała Melissa.

- Gdzie się wybieracie?

- Do Mystic, małej portowej miejsciny niedaleko stąd. Jest tam podobno ciekawe muzeum żeglugi i kolekcja starych statków.

- A odkąd to interesujesz się statkami? I co ja przez cały dzień mam ze sobą począć?

- Weź blok rysunkowy, szkicuj mewy, fale, skały...

- A jak sądzisz, przez ile godzin można szkicować mewy i skały?

- Czy nie widzisz, że wszyscy są przeciwko nam, mnie i Toddowi?

- Pod słówkiem „wszyscy”, zgaduję, kryje się tylko Natalie.

- I jej nadęty kompan, Jeremy. Mnie podrzuciło do domu jakieś małżeństwo, które mieszka tu gdzieś w pobliżu. Lecz ją przywiózł brat Todda, a słońce nie przesadza, stało już wysoko nad horyzontem. Dodaj do tego pełną godzinę, podczas której siedzieli w samochodzie i o czymś tam debatowali. Trudno mi wręcz pojąć, jak po bezsennej nocy mogła tak wcześnie zwlec się z łóżka.

Melissa potrząsnęła swoim przyciskiem do papierów i zapatrzyła się w sypiący równo śnieg.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że Jeremy jest do ciebie niechętnie nastawiony?

- Chodzi o sposób, w jaki na mnie patrzy i w jaki mnie przepytuje. Jakby dawał mi do zrozumienia, że jestem intruzką, która czyni starania o uzyskanie członkostwa jakiegoś ekskluzywnego klubu. A poza tym słyszałam na własne uszy, że obiecał Natalie trzymać Todda z daleka ode mnie.

- Jesteś tego pewna?

- Powiedział, że Todd może stracić dla mnie głowę i że on, Jeremy, musi temu zapobiec.

Melissa szybko odłożyła przycisk na miejsce, gdyż zlekła się, że za chwilę ciśnie nim o podłogę. A więc mówiąc o uprzedzeniach Jeremy'ego i jego poczuciu klanowej wyższości, Brian mówił prawdę. Wszystko wskazywało na to, że Jeremy nie uważał Arlene, to znaczy Jean, za osobę godną dopuszczenia do rodziny Yorków.

- A zatem, jeśli mamy zrealizować wasz plan, nie możemy tracić czasu.

Melissa z pomocą Arlene zdążyła właśnie się ubrać, kiedy zjawił się Todd.

Natalie, która usłyszała trzask zamykanych drzwiczek samochodu i przez okno zidentyfikowała gościa, wypadła z pokoju na korytarz.

- Co on tu robi? Uprzedzałam przecież Jean...

- Przyjechał po mnie - wyjaśniła Melissa.

Natalie opadła szczęka. No, tak wykrztusiła w końcu - skoro nie radzisz sobie z jednym Yorkiem, próbujesz z drugim.

Melissa, udając głuchą i niemą, wyminęła tę niemożliwą kobietę i zeszła na dół. Otworzyła drzwi frontowe w momencie, kiedy Todd unosił właśnie rękę do dzwonka.

- Witaj, Melisso. Gotowa?

- Całkowicie.

- Proszę się nie martwić, pani Kerr - wykrzyknął Todd do stojącej na szczycie schodów Natalie. - Odstawię ją żywą i zdrową.

W pobliżu restauracji „Sea View” Todd zaproponował Melissie wspólne zjedzenie śniadania, a ona skwapliwie się zgodziła.

- Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie zdążyłam wypić kawy.

Po śniadaniu Todd przede wszystkim podziękował Melissie za ofertę pomocy z jej strony. O Arlene-Jean mówił z głębokim uczuciem oraz zwierzył się, że planuje podjęcie pracy w rodzinnym przedsiębiorstwie. Chce do wszystkiego dojść sam, dodał, bez sztucznych ułatwień z racji urodzenia.

Zszedł na tematy rodzinne. Był właśnie w środku zabawnej historii o figlu, jaki spłatał przed laty swemu starszemu bratu, gdy nagle przerwał i klepnął Melissę w dłoń.

- No i wywołaliśmy wilka z lasu - rzekł, patrząc w kierunku drzwi.

Melissa odwróciła głowę i zobaczyła zbliżającego się ku nim Jeremy'ego. Nie wyglądał na zdziwionego. Ale właściwie dlaczego miałby być zdziwiony? Natalie pewnie natychmiast po ich odjeździe złapała za słuchawkę i przekazała najnowsze wieści dawnemu

kochankowi. Ten zaś, nie namyślając się, wskoczył do mercedesa, aby ratować młodszego brata ze szponów Mata Hari.

- Zauważyłem na podjeździe twój samochód - powiedział do Todda, równocześnie przewiercając oczami Melissę. - Sądziłem, że jesteś na tym spotkaniu akcjonariuszy, o którym niedawno temu rozmawialiśmy.

- Ma się odbyć za tydzień, a datę ty sam wyznaczyłeś.

Jeremy pstryknął palcami.

- Na śmierć zapomniałem.

- Zapomniałeś? Trudno w to uwierzyć. - Todd potrząsnął głową, jak gdyby zbierał myśli. - Melissa i ja wybieramy się na cały dzień do Mystic. Chcę jej pokazać ciekawsze eksponaty w tamtejszym muzeum żeglugi.

- Nie sądziłem, że ujrzę cię dzisiaj na nogach, Melisso. Twoja kostka...

- Już wczoraj zapewniałam cię, że to nic poważnego.

- Zgadza się.

- Przepraszam was. Zaraz wrócę.

Zanim wstał od stolika, Todd dotknął stopą stopy Melissy.

Znakiem tym chciał prawdopodobnie dać jej do zrozumienia, że wychodzi naprzeciw Jean, by zapobiec jej spotkaniu z Jeremym.

Jeremy usiadł na krześle brata, a wezwawszy kelnerkę, zamówił małą czarną. Pił ją, patrząc przez okno na morze.

- Czy twój przyjaciel nie miał nic przeciwko temu, że wybrałaś się z Toddem? - zapytał, przerywając wreszcie ich obopólne, stanowczo zbyt długie milczenie.

- Robię, co mi się podoba - odparła. - I nie muszę przed nikim się tłumaczyć.

Jego uśmiech przypominał grymas.

- Zauważyłem. Lecz czy zawsze udaje ci się trzymać swych adoratorów wzajem od siebie na bezpieczny dystans?

Ona również się uśmiechnęła.

- Mam opracowany do perfekcji system ewidencji i harmonogram spotkań.

- A czy w pełni uświadamiasz sobie sens i konsekwencje tego, co robisz? - zapytał zbielełymi wargami.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale pod lodową powłoką buchał ogień.

- Oczywiście. Pragnę najatrakcyjniej spędzić resztę mojego urlopu.

- Nie licząc się z nikim i z niczym. A jaką rolę w twoich planach pełni Todd?

- Czy pytasz o zamiary?

Pozornie beztroskim śmiechem skryła drżenie głosu. Zaczynał już ją męczyć ten pojedynek na słowa.

- A może odpowiedniejsze byłoby pytanie o zamiary Briana Hendricksa i jakie prawa rości sobie względem ciebie?

- Dlaczego cię to interesuje?

- Trudno w przeciągu kilku godzin zapomnieć twój pocałunek.

- Mój pocałunek?

- Czy Todd również jest elementem twojej gry?

- Twój brat wyrósł już z krótkich spodenek. Chwycił ją za przegub ręki. Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, wzrok jego przykuła Arlene, która z pantoflami w dłoniach maszerowała w kierunku restauracji. Zbliżała się od strony plaży, podczas gdy Todd, pomyślała Melissa, musiał czekać na nią na drodze.

Dostrzegł ją, kiedy było już za późno. Podbiegł do niej i zaczęli o czymś żywo rozprawiać, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę budynku. Po chwili, dla Melissy niemożliwie długiej i pełnej udręki, weszli do środka.

- Jean zdecydowała - wyjaśnił Todd - że jest zbyt piękny dzień na garbienie się nad klawiaturą. Jedźcie do Mystic razem z nami.

- Dobry pomysł - powiedział Jeremy tak grobowym głosem, jakby chodziło o dobry pomysł ceremonii pogrzebowej. - Z przyjemnością do was dołączę.

Spojrzeli po sobie zmieszani jak dzieci, on zaś udał, że tego nie zauważa.

W końcu Todd zdobył się na wyrażenie entuzjazmu.

- Wspaniale! W większej grupie zawsze jest weselej.

- Weźmiemy mój samochód - zaproponował Jeremy w drodze na parking. - Jest w nim więcej miejsca.

- Jak sobie życzysz - odparł Todd i dodał zwracając się do Melissy:

- Najlepiej będzie, jeśli ja z Jean usiądziemy z tyłu, a ty ze względu na nogę na przednim siedzeniu.

- Ale nie powiesz mojej matce o naszej wycieczce - na poły żalonym, na poły przymilnym głosem zapytała Jeremy'ego Arlene. - Ona jest przekonana, że w tej chwili przerabiam Mozarta i Chopina.

- Nie - zapewnił ją, zapalając silnik. - Wszyscy od czasu do czasu potrzebujemy jakiejś odskoczni od rutyny dnia powszedniego.

Ruszyli i po kilku minutach znaleźli się na autostradzie. Jean i Todd, bawiąc się w konspiratorów, szeptali coś z tyłu do siebie. Jeremy milczał. Być może usiłował podsłuchać coś z tej mowy bardziej ulotnych tchnień niż słów. Melissie odpowiadało, że pozostawiona jest samej sobie i może w spokoju oglądać przesuające się krajobrazy.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wzdłuż wybrukowanych kocimi łbami uliczek Mystic ciągnęły się domy i sklepy z innej epoki, a w warsztatach rzemieślniczych pracowano według tradycyjnych zasad i metod, jakby świat nie doświadczył szaleństwa postępu. A więc widziało się warsztaty bednarskie, sklepiki ze świecami, oliwą i mydłem, apteki, w których na półkach stały ciemne słoje i flaszki, a wreszcie przedziałnie, gdzie tkano płótno żaglowe. W jednym z większych sklepów spożywczych Arlene zobaczyła szklane dzbanki, wypełnione cukierkami w kształcie lasek i gotowa była czerpać z każdego z nich pełnymi rękami.

Po wizycie w muzeum i wypiciu piwa w marynarskiej tawernie rodem z „Moby Dicka”, przeszli do budynku, w którym wystawiano bogatą kolekcję modeli starych statków. Entuzjasta na punkcie morza i wszystkiego, co z morzem związane, Todd, miał ochotę powrócić do doków, by dokładniej obejrzeć statek wielorybiczny.

- Co z twoją kostką? - zapytał Melissę. - Zdaje się, że trochę utykasz.

- Tym bardziej nie powinieneś zamęczać jej chodzeniem - powiedziała Arlene.

Melissa miała wrażenie, że recytują tekst, który wspólnie napisali.

- Nie czuję bólu i myślę, że spacer nie może mi zaszkodzić.

- Nie byłbym tego taki pewien - wyraził swe wątpliwości Todd.

- Jeśli nie będziesz o siebie dbała, to resztę urlopu spędzisz o kulach.

Arlene, mówiąc to, stała odwrócona plecami do Jeremy'ego i komiczną mimiką twarzy błagała ją, by wsparła ich miłosny zamiar.

- Albo zróbmy tak - zaproponował Todd ożywionym głosem, jakby ta myśl dopiero teraz przyszła mu do głowy - że ja z Jean wrócimy do portu, a ty i Jeremy zainstalujecie się w jakimś lokalu, gdzie bez pośpiechu zjecie lunch. Spotkamy się w tym miejscu za dwie godziny.

- Za godzinę - poprawił go Jeremy. v -W takim razie za półtorej. Jeremy skapitulował. -Lecz ani minuty dłużej.

- Ja w tej umowie zostałam całkiem pominięta - zauważyła Melissa, kiedy tamci szybko, zbyt szybko, odeszli.

- Nie jestem z niej ani na jotę bardziej zadowolony niż ty - przyznał Jeremy z zafrasowaną miną.

Nie było to rycerskie, ale wydawało się szczerze.

- Nie prosiłam przecież o twoje towarzystwo. Idź sobie. Jeśli dobrze wyciągniesz nogi, jeszcze ich dogonisz.

- I zostawię cię tutaj, na środku placu? Todd nigdy by na to nie pozwolił. Proponuję raczej kupić coś na lunch, po czym poszukać jakiegoś malowniczego miejsca i urządzić sobie piknik.

Melissa wzruszyła ramionami. Było jej wszystko jedno, gdzie pojadą i co zjedzą.

Kupili kurczaka z różną, bułkę i karton soku pomarańczowego. Rzuciwszy wiktuały na tylne siedzenie, wyruszyli w drogę.

Wkrótce zobaczyli tablicę, która informowała o parkingu oraz wydzielonym i zagospodarowanym miejscu na piknik. Ale stoły okazały się już zajęte przez innych turystów, a poza tym Jeremy uznał, że roi się na nich od mrówek,

- Poszukajmy raczej jakiegoś cichego zakątka z dala od drogi.

- Nie mamy obrusa.

- Zdaje się, że dysponuję czymś, co w ostateczności może obrus zastąpić.

Podniósł pokrywę bagażnika i wyjął z niego koc. Podał go Melissie, a sam zabrał torbę z jedzeniem.

- A czy mrówki nie znajdą nas tam, gdzie idziemy? - zapytała Melissa, podążając za nim wąską ścieżyną wśród krzewów i drzew.

- Tylko te o dużym współczynniku inteligencji.

- Czy często zdarzają ci się takie zaimprovizowane wycieczki?

- Nie - odparł. - Wolę moją pracę od wycieczek. Chociaż teraz, w związku z rocznicowymi obchodami, jestem, by tak rzec, na przymusowym urlopie.

- Pozwolisz, że zapytam, co cię pchnęło do wyboru tego

specyficznego zawodu, jakim jest niewątpliwie projektowanie różnych gier i zabaw w wesołych miasteczkach. Tak bardzo to odbiega od charakteru i rodzaju działalności ekonomicznej twojej rodziny.

- A ty dlaczego wybrałaś te swoje ubezpieczenia? - zapytał zimnym głosem. - Czy twój ojciec i dziadek byli agentami ubezpieczeniowymi?

- Nie chcesz odpowiadać, to nie. Moją intencją było tylko podtrzymać rozmowę. Tak po prostu zostałam wychowana.

- Przepraszam. - Uderzył się otwartą dłonią w kark.

- Nie jestem dziś w najlepszej formie,

A kiedy byłeś? - zapytała w duchu, wciąż najeżona.

- Nie ma sprawy.

- Miałem kiedyś kuzyna - powiedział, schylając się pod nisko wiszącą gałęzią, aby następnie odgiąć ją i utorować drogę Melissie. - Był czarną owcą w rodzinie, ponieważ uciekł z domu i dołączył do objazdowej trupy rewiowo-cyrkowej. Zabroniono mi kontaktować się z nim, ale nie podporządkowałem się zakazowi. Łącznikiem była moja ciotka, a jego matka. Gdy jego zespół zahaczał o nasz stan lub sąsiednie, wówczas mój kuzyn przyjeżdżał po mnie i zabierał na objazd. Miał pełną głowę pomysłów, dotyczących nowych atrakcji w parkach rozrywków. Pokazywał mi swoje szkice i bez końca powtarzał, że kiedy zaoszczędzi dostateczną sumkę, wcieli pomysły w czyn. Obiecał, że zrobi ze mnie swojego współnika.

- I zrobił?

- Wszystkie jego projekty zostały na papierze, a w portfelu nigdy nie miał więcej jak pięć dolarów. Zginął w wypadku samochodowym.

- Straszne.

- Zdarzyło się to całe wieki temu, ale facet rozpałił we mnie entuzjazm, który do tej pory nie wygasł.

- I robisz to dla niego. Spłacasz niejako zaciągnięty dług.

- Częściowo. Niektóre moje projekty są oparte na jego pomysłach i szkicach. Miał bogatą wyobraźnię. Z finansową pomocą ze strony rodziny zaszedłby bardzo daleko. - Stał i rozejrzał się. - Czy ta

polanka odpowiada ci?

- Zdaje się, że słyszę potok.

- Masz rację - zgodził się. - Nad wodą będzie przyjemniej. Za chwilę do niej dojdziemy. A ty dlaczego wybrałaś ubezpieczenia?

- Matematyka od początku była moją pasją. Rozwiązywałam najtrudniejsze zadania z zakresu równań i funkcji dla czystej przyjemności zmierzenia się z nimi. Ale nie powiem, aby ubezpieczenia uwiodły mnie już w tamtym okresie. Pamiętam, że jako dwunastoletnia dziewczynka chciałam zostać nurkiem, aby wyciągnąć z głębin morskich „Titanica”.

- Sama? - zapytał śmiejąc się. - Bez niczyjej pomocy?

- Naturalnie.

- A oto twój potok. - Spojrzeli na wąziutką strugę, która ciurkała z kamienia na kamień. - Na Niagarę to nie wygląda.

- A co z twoją wyobraźnią?

- W tej chwili trzymam ją na wodzy. I na szczęście.

- Kiedy zaś rzuciła nań pytające spojrzenie, dodał:

- Wyobraźnia mężczyzny może sprawić, iż znajdzie się on w nielichych opałach.

To samo tyczy się wyobraźni kobiety, pomyślała, pamiętając, jak łatwo ulegała zagadkowemu czarowi Jeremy'ego. Będąc w jego towarzystwie niezmiennie czuła się, jakby stała na skraju urwiska. Czy oznaczało to szczęście, czy zgubę, nie potrafiła dotąd rozstrzygnąć.

Rozpostarli koc, położyli na nim torbę z jedzeniem i przez jakiś czas chłonęli w milczeniu urok tego leśnego, dziewiczego ostępu. Na dywanie z mchów, traw i ostów wyodrębniały się jaskrawymi plamami purpury i złota dzikie kwiaty o nieznanym nazwach. Czerwona wiewiórka z wdzięcznie stojącą kitką przez chwilę obserwowała ich z powalonego zmurszałego pnia, by potem śmignąć na drzewo. Z gąszczu ciernistych krzewów poderwał się tęczowo ubarwiony ptak. Zielone poszycie tętniło owadnim koncertem, a z igliwia koron spływała woń eterycznych olejków. Strumyk szemrał, rozproszone w gałęziach światło mieszało się z błękitnymi cieniami.

Melissa była w nastroju radosnego uniesienia. Czuła wdzięczność dla Jeremy'ego, że przyprowadził ją do tego cudownego miejsca.

On zaś oglądał to wszystko z głębokim zamyśleniem w oczach, co upodabniało go po trosze do dziecka.

- Czy od dawna znasz Jean? - zapytał.

Po raz pierwszy miała poczucie, że takiego, jakim go w tej chwili widziała, mogłaby przenieść wiernie na papier czy płótno. A już na pewno potrafiłaby oddać jego oczy, głębokie, pałające wewnętrznym światłem, tajemnicze.

- Słucham? Nie dosłyszałam. Powtórzył pytanie.

- Tak - odpowiedziała, zdecydowana nie dodawać ani jednej zbędnej sylaby.

- Czy naprawdę jest taką słodką i niewinną dziewczyną, jaką się wydaje?

- Naprawdę. A czy Todd jest rzeczywiście takim prostolinijnym chłopcem, jakim się wydaje?

Ściągnął brwi, lecz zamiast oburzyć się z powodu jej przedrzeźniającej odpowiedzi, ciągnął spokojnie swoją zabawę w detektywa.

- Czy naprawdę w jej życiu muzyka odgrywa tak dużą rolę? Czy też może Jean jest pod pręgierzem ambicji swojej matki?

- Słyszałeś jej grę?

- Nie, ale mówiono mi, że jest bardzo dobra.

- Dobra? Ona jest wyśmienita. I nie musisz martwić się o Todda. - Dość miała tych podchodów i przeszła od razu do rzeczy. - Ona kocha twojego brata, ale jest jak najdalsza od chęci uwikłania go w małżeństwo.

- Czy jesteś tego pewna?

- Jest młoda, ale ma dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że wakacyjne romanse mają motyli żywot.

Szczególnie, jeśli wszyscy są przeciwko nim, mogłaby dorzucić, ale nie zrobiła tego z uwagi na postanowienie zachowania pokoju.

Złoty promień słoneczny przebił się przez korony drzew i ugodził ją prosto w oczy. Przesunęła się na kocu. W tym samym momencie,

opierając się na łokciu, Jeremy przybrał pozycję półleżącą. Tak oto niebezpiecznie zbliżyli się do siebie.

- Nie rozumiem, co zdrowy rozsądek ma wspólnego z miłością - sceptycznym tonem powiedział Jeremy.

- Jeśli kobieta ma krztynę rozumu w głowie, potrafi rozpoznać niebezpieczeństwo, zanim ono nadejdzie. Wówczas wycofa się w odpowiednim momencie, jeszcze przed krytyczną chwilą.

Wypowiadała słowo za słowem, ale przede wszystkim chciała być pocałowana. Tak bardzo. Tak bardzo, że sens dopiero co wypowiedzianych słów prawie natychmiast wyparował jej z głowy.

- A jeśli nie chce się wycofać?

- Wycofać? Z czego?

Uśmiechnął się i ześlizgnął spojrzeniem na jej usta.

- Powiedziałaś...

Kiedy dotknął jej medalionika na srebrnym łańcuszku, który dostała od ojca na piętnaste urodziny i w którym wciąż nosiła zdjęcie kochanego niegdyś chłopca, zeszywniała i z trudem przełknęła ślinę.

- Czy otwiera się?

- Tak, ale...

Otworzył medalionik, spojrział krzywym okiem na zdjęcie i bez słowa zamknął srebrne puzderko. Nagle zainteresował się jej czołem.

- Po czym to masz?

Powiódł wskazującym palcem po bliźnie nad jej lewą brwią. Odczuła to niby dotknięcie rozpalonym pogrzebaczem.

- Prawie już o niej zapomniałam. Jak ją zobaczyłeś? Jest ledwie widoczna.

- Odznacza się, kiedy się rumienisz. Jak się jej nabawiłaś?

Pięknie, miała czerwoną twarz niczym licealistka na pierwszej randce. - Spadłam z jabłoni.

- W zasadzie mogłem się tego domyślić. Więc wdrapujesz się również na drzewa?

- Tak. Miałam kiedyś taki zwyczaj.



- Biedna dziewczynka.

Nachylił się i pocałował ją w skaleczone niegdyś miejsce, ona zaś, niejako poza swoją wolą, uniosła dłoń i ogrzała ją w żarze, jaki pozostał po jego pocałunku.

- Próbowałam...

Przerwała, gdyż słowa przestały być ważne. Całował teraz jej ucho, a jego usta podążały dalej. Przez nadwrażliwą i jakby rozrzedzoną skórę wnikał oddechem do jej wnętrza, czym zapowiadał dalsze szturmy i żądał bezwzględnego poddania się. Czy była już na to gotowa?

W odruchu buntu zacisnęła dłonie i przeciwstawiła je jego potężnym i twardym ramionom i piersiom. Nie była to walka w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz raczej manifestacja oporu, sygnał niezgody.

O czym to zaczęła mówić? Za wszelką cenę musiała sobie przypomnieć.

- Próbowałam udowodnić, że jestem równie dobra w łażeniu po drzewach jak...

- Popełniłaś błąd - przerwał jej niemal z gniewem.

- Dzisiaj dobrze wiem o tym, lecz nigdy nie odrzucałam wyzwania.

- Nie miałem na myśli twoich wspinaczek.

- Nie?

Jak gdyby zimna mgła przywarła do jej ramion.

- Nie.

Ujął ją dłonią pod brodę i powiódł kciukiem po jej dolnej wardze.

- W takim razie p czym mówiłeś?

- Mówiłem o tym, że jest absurdalną rzeczą mieszać zdrowy rozsądek z miłością.

Nie bardzo wiedząc, co robi, przywarła ustami do dłoni Jeremy'go. Okazał zdziwienie, ale jej zdziwienie było bodaj jeszcze większe.

Potem w jego oczach pojawiła się bezmierna łagodność, jakby spóźniona odpowiedź na urok tego leśnego zakątka. Ich myśli zlały się w jedno. On pamiętał smak jej ust i ona pamiętała smak jego ust. Dzielili też między sobą na równi gorące pragnienie cielesnej

jedności.

I to był ten właściwy moment, chwila, kiedy spełnia się miłość. Lecz w niej pobrzmiwały głosy. Nie. Nie tutaj. Nie teraz. Nie z nim.

- Poczekaj - jęknął. - Czy wiesz, co robisz? Tak, dobrze wiedziała, co robi.

- To szaleństwo - powiedział. Chciała tego słodkiego szaleństwa.

Wstał, dźwignął ją i chwyciwszy koc, zawiódł bliżej strumienia, gdzie w gęstych krzewach i wysokich trawach mogli odnaleźć intymność.

Objął ją, a ona zanurzyła palce w jego czarnych jak smoła włosach. Tego pragnęła najbardziej, od pierwszego spotkania z nim w chacie Eliego, nieprzerwanie, bo nawet wówczas, kiedy myślała, że pogardza nim.

Znowu leżeli i spadał na nią ognisty deszcz pocałunków. Całował jej czoło, policzki i szyję. Odchyliła głowę, gdyż chciała, żeby całował ją wszędzie.

Odkrył jej piersi i uda. Uczynił ją nagą w krajobrazie jak z pejzażu Rousseau.

Jego oczy odbijały wszystko niczym kryształowe zwierciadło. Odbijały spęczniała różowość brodawek i jawność ich namiętych pieśczoł. Pamiętał o niej i hamował własną gorliwość. Czekał na jej miłosną zadyszkę i przyspieszał ją pieśczołami.

Przemknęła jej przez głowę myśl, że znajduje się w objęciach doświadczonego kochanka. Odepchnęła ją. Przeszłość nie liczyła się. Nie mogła zatruwać ich wspólnej przyszłości.

Chłonąc zmysłami najsztubtelniejsze cielesne doznania, nie odcięła się przecież zupełnie od świata. Słyszała szum drzew, szmer wody i trzepot ptasich skrzydeł. Jej serce też było ptakiem. A w jej wnętrzu narastał jęk rozkoszy.

Złękła się samej siebie. Ktoś przechodzący w pobliżu mógłby ją usłyszeć.

W tym samym momencie przedarło się przez gęstwinię przenikliwe dziecięce wołanie. Odpowiedział mu inny rozbawiony głos, który rozplynał się w śmiechu. Dwoje lub może troje dzieci

zobaczyło strumień i wpadło na wspaniałą myśl, aby zrzucić buty i pobrodzić w wodzie. Śmiały się i żartowały tuż za zielonym parawanem, który skrywał miłość, nagość i niesyte jeszcze zmysłowych doznań pożądanie.

Kochankowie rozłączyli się i zaczęli się powoli uspokajać. Melissa poprawiła na sobie ubranie.

Pięć minut dłużej, pomyślała. Wówczas mogłaby do końca zasmakować daru rozkoszy. A ta jasna chwila zajęłaby na stałe miejsce w jej pamięci.

Lecz i tak jej serce wypełnione było miłością po brzegi. Aż dziwiła się samej sobie, że mimo to znalazła do niej dostęp myśl o Natalie.

Powodowany zazdrością, Brian kłamliwie przedstawił jej obecne stosunki z Jeremym, a przeszłość przecież nie liczyła się. Cóż jednak począć z fantem, że wtedy w ogrodzie na własne oczy widziała, jak tych dwoje przytulało się do siebie i wiodło raczej intymną rozmowę, jeśli można wnosić z kilku zasłyszanych słów?

I co z tymi godzinami, które spędzili ze sobą później? Arlene powiedziała jej, że jeszcze przed ich domem siedzieli blisko godzinę w samochodzie. To musi zostać wyjaśnione.

Oczywiście, Jeremy powie jej o wszystkim w swoim czasie. Powinna więc uzbroić się w cierpliwość i czekać na jego decyzję. Lecz równocześnie mogłaby przecież jednym słowem rozproszyć swój niepokój i uczynić z tego popołudnia doskonałą pełnię. Nie był to łatwy temat do poruszenia. Nie chciała, aby Jeremy zobaczył w niej zazdrosną kochankę, która dziś wypytuje, by jutro zacząć śledzić.

- Będą na nas czekać powiedział, spoglądając na zegarek.

Niech czekają, pomyślała. Zrozumieją i jeszcze przy-klasną ich spóźnieniu. Tej chwili nie mogła tak łatwo się wyrzec.

- A co z naszym lunchem? - zapytała sennym głosem, gotowa leżeć na tym kocu do samego wieczora.

- Przekąsisz w samochodzie, jeśli jesteś głodna - odpowiedział.

Wrócili do miasteczka pół godziny po ustalonym terminie, lecz w umówionym miejscu nikt na nich nie czekał. Nie widząc Todda i

Arlene, Jeremy zaczął się miotać niczym lew w klatce. Chodził niespokojnym krokiem tam i z powrotem, spoglądał na zegarek i porównywał jego czas z czasem dużego ściennego zegara na frontonie pobliskiego budynku. Przystawał, wpatrywał się w wylot uliczki i zaczynał wszystko od początku.

- Prawdopodobnie stracili poczucie czasu - powiedziała Melissa, chcąc ukoić jego niepokój. - Jest to bardzo łatwe, kiedy przeżywa się ciekawe chwile.

Jeremy zmarszczył czoło.

- To całkiem niepodobne do Todda. Zawsze mogłem polegać na jego rzetelności.

Sposób, w jaki to powiedział, mógł tylko oznaczać, że winą za niedotrzymanie słowa obciąża Arlene.

- Na pewno się zjawią, nie przejmuj się. Czekać na nich, moglibyśmy usiąść na ławce i coś przekąsić. Być może przyszli tu o wyznaczonym czasie, zobaczyli, że nas nie ma, i znowu gdzieś sobie poszli.

- Cóż jeszcze widzisz w tej swojej szklanej kuli? - zapytał opryskliwie.

Nie dowierzała własnym uszom. Czy to był ten sam mężczyzna, który jeszcze przed godziną trzymał ją w ramionach i namiętnie całował? Jeżeli nie, to oznaczało to, że był kimś w rodzaju Jekylla i Hyde'a. Taki kochanek budził w niej strach.

- Czy pan York? - To wołał uliczny sprzedawca precli, który ciągnąc wózek zdążył w ich kierunku.

- Tak, to ja - odparł Jeremy, odwracając się na spotkanie tego człowieka.

- Mam wiadomość dla pana. Chwileczkę. Mężczyzna odsunął czapkę na tył głowy i zapatrzył się w niebo, jakby wiadomość, o której wspomniał, wypisana była na którymś z obłoków.

- O co chodzi? - próbował ponaglić go Jeremy.

Widząc wyraz jego twarzy, Melissa nie byłaby zdziwiona, gdyby nagle chwycił sprzedawcę za kark i wytrząsnął z niego słowo po słowie niczym sól z solniczki.

- Ten młody gość i jego kociak czekali tu na państwa. Ale pojawił się samochód pełen ich przyjaciół, więc zdecydowali się zabrać z nimi. Mogą państwo wracać, skąd przyjechali. To właśnie miałem przekazać.

- I nie przekreślił pan niczego? Mężczyzna pochylił głowę na jedno ramię i mrugnął wesoło do Melissy.

- Czy mógłbym oszukiwać tak piękną panią? Czy kupię państwo precelka?

- Nie! - warknął Jeremy.

- Chrupkie i gorące. Szczególnie smakują do zimnego piwa.

- Nie, dziękujemy - powiedziała Melissa, mając nadzieję, że Jeremy nie wywoła awantury.

- Cholera! - zaklął i ruszył w kierunku zaparkowanego samochodu, Melissa zaś próbowała za nim nadążyć.

- Nie ma powodu do niepokoju - zapewniła go. - Powiedziałam ci już...

- Powiedziałam ci już - powtórzył jej słowa przedrzeźniającym tonem. - Powiedziałaś mi dotąd wiele rzeczy. A teraz powiedz mi, kiedy to wszystko ukartowaliście?

- Ależ ja...

Bez wątpienia wszystko to zostało zaplanowane. Tylko nie przecz. Nagle zaczęła boleć cię kostka, gdyż chodziło o to, bym zaopiekował się tobą i dał im wolną rękę.

- Nasz pobyt nad potokiem też zaplanowałam?

- W pewnym sensie tak.

- I podstępnie próbowałam cię tam usidlić?

Łzy stanęły jej w oczach i z trudem powstrzymała się przed spoliczkowaniem go.

- Gratuluję. Udało się. - Otworzył gwałtownym ruchem drzwi samochodu. - Wsiadaj.

Cofnęła się o krok.

- Nie mam zamiaru wracać z tobą.

- Wsiadaj.

- Zadzwońię do domu, aby przyjechano po mnie.

- A jeśli nie zastaniesz Hendricksa, co wtedy? Wrócisz do Sandgate autostopem?

- Wolę nawet wracać piechotą, niż znosić twoje obelgi.

Zaklął pod nosem i chwycił ją za nadgarstek.

- Będziesz musiała znieść gorsze rzeczy, jeśli natychmiast nie wsiądziesz do samochodu. Czy też muszę użyć siły?

Aż zadygotała z oburzenia. Zresztą z pewnością blefował. Nie podniósłby na nią ręki w publicznym miejscu. Yorkowie byli zbyt znani w tych stronach, aby wiadomość o poturbowaniu kobiety przez członka rodziny nie znalazła się na pierwszych stronach gazet.

- Nie ośmielisz się.

- Czy to cała twoja odpowiedź?

- Jeśli wsiądę - powiedziała w nagłym przypływie zniechęcenia i obojętności - to tylko dlatego, by zaoszczędzić Brianowi tej podróży.

- Nic mnie nie obchodzą twoje powody.

Jechali w posępnej ciszy, zaś Jeremy ścisnął kierownicę z zuchwałą determinacją rajdowego kierowcy.

Melissa sięgnęła do przycisku radia, ale chwycił jej rękę i odtrącił ją.

- Nie jestem w nastroju do słuchania muzyki.

- Wystarczy, że ja jestem.

- Więc sobie pogwiźdź.

Poczuła się tak, jakby otwarte dotąd drzwi nagle zatrzasnęły się i uwięziły ją w ciasnej i dusznej klitce. Tamte chwile nad potokiem w ramionach Jeremy'ego wydały się tylko sennym marzeniem. Teraz wszystko było brudne i brzydkie.

- Mój ojciec przekazał mi wszystkie decyzje odnośnie rodziny i przedsiębiorstwa - powiedział w pewnej chwili Jeremy. - Mam wolną rękę.

- Więc rządz sobie niczym udzielny pan i władca. Tylko po co mi o tym mówisz?

- Jeśli bowiem Jean wyobraża sobie, że przez małżeństwo z Toddem dorwie się do dużych pieniędzy, to pozostaje w błędzie. Żadnego ślubu nie będzie. Powinnaś jej to uświadomić.



- Ty sam ją uświadom. A wówczas jej obrzydzenie do ciebie będzie równe mojemu.

Gdy zajechali przed dom, firanki poruszyły się i zaraz potem wyszła na ganek Natalie. Oczywiście, swoim zwyczajem, miała palce przyciśnięte do skroni, za nią zaś, niczym pielęgniarka za pacjentką, stała Arlene.

- Jak widzisz, nie uciekli - warknęła Melissa, doprowadzona do furii wyrazem ulgi, malującym się na twarzy Jeremy'ego.

Szybko wysiadła i trzasnęła drzwiami.

- Zaczekaj chwilę! - krzyknął, wyskakując za nią. - Musimy sobie coś wyjaśnić.

- Zaiste. Ale moje dobre wychowanie powstrzymuje mnie przed powiedzeniem tego, co myślę.

- Być może nie uczestniczyłaś w całej tej znowie. - Chwycił ją i odwrócił ku sobie. - Jeżeli nie, to przepraszam.

- Jeżeli nie? Opatrujesz warunkami swoje przeprosiny niczym kontrakt handlowy. Odrzucam je. Puść mnie.

Szarpnęła się.

- Melissa.

- Zabierz ode mnie swoje wstrętne łapska, bo inaczej mój krzyk usłyszą wszyscy szacowni obywatele tego wspaniałego miasta.

- Nigdy nie wybaczę sobie tej chwili słabości, kiedy pozwoliłam ci przyjechać tu razem z nami - zasyczała Natalie, kiedy Melissa przechodziła obok.

Idąc po schodach do swego pokoju, usłyszała jeszcze, jak tamta obwinia ją przed Jeremym o zły wpływ na jej córkę.

Melissa naprawdę miała ochotę wybuchnąć histerycznym krzykiem. Ale tylko rzuciła się na łóżko z pobladłą twarzą i płonącymi gorączką oczami.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Musiła pomimo wszystko zapaść w coś w rodzaju płytkiej, niespokojnej drzemki, gdyż obudziło ją, mokrą od potu, pukanie do drzwi.

- To ja, Brian. - Wszedł i usiadł przy niej na łóżku.

- Jak się czujesz?

- Wprost fantastycznie.

Ujął ją za rękę i całował każdy opuszek jej palców. Ale kiedy zbliżył się wargami do jej twarzy, odwróciła głowę.

- No, tak - rzekł wstając. - Wiedziałem, że ten drań prędzej czy później unieszczęśliwi cię. Pójdę i zamaluję go tak, że zobaczy wszystkie gwiazdy.

- Daj spokój, Brian. To nic nie pomoże.

Bratu Natalie z pewnością nie brakowało siły, lecz Jeremy również nie zaliczał się do zawodników wagi piórkowej. Który z nich znalazłby się na deskach, pozostawało co najmniej kwestią otwartą.

- Pomoże na pewno mi samemu - upierał się.

- Przecież tu, w Sandgate, jestem za ciebie w pewnym stopniu odpowiedzialny.

- Przypominaj mi zatem, że bym zawsze zabierała ze sobą kij w celach samoobrony.

Uśmiechnął się, ale zaraz na powrót jego twarz przybrała wyraz powagi.

- Myślę, że powinnaś wrócić do Albany.

- Nie.

- Dlaczego? Będę opiekował się twoją siostrą. A kiedy ten koszmar się skończy, spotkamy się i zaczniemy wszystko od początku, jakby nie było Sandgate, Yorka i całego tego udawania. Co ty na to?

Albany. Dom. Tętniące życiem ulice. Zakupy. Nawet pan Lowell i jego górnolotne przemowy. To brzmiało zachęcająco, lecz człowiek nigdy nie jest dostatecznie wolny, by nie musiał się liczyć z żadnymi uwarunkowaniami.

- Przed piątkowym recitalem nie mogę wyjechać. Arlene nie wybaczyłaby mi tego.

Spojrzał w sufit z wyrazem bezsilności w oczach.

- Kiedy przestaniesz myśleć o swojej siostrze i zaczniesz myśleć o...?

- Brian, proszę!

- W porządku. - Podniósł rękę, przyznając się do porażki. - Mam inny pomysł. Skrzywiła się.

- Żadnych nowych pomysłów.

- Wybierzmy się na tę całodniową wycieczkę, na którą już raz cię zapraszałem. Przy okazji zaoszczędzi ci to widoku Nat.

- I narazi na ponowny atak wściekłości z jej strony, tym razem z twego powodu.

- Nie musimy wyruszać razem. Możemy spotkać się w jakimś umówionym miejscu. Co o tym sądzisz?

Ukląkł przy jej łóżku.

- Pozwól mi chwilę pomyśleć.

Gdyby cały jutrzejszy dzień miała wypełniony, pozostałby tylko piątek z rewią mody i wieczornym koncertem. Później byłaby wolna i mogłaby wracać do Albany. Jedyne szkopuł tkwił w tym, jak Brian sobie wyobraża ten wspólnie spędzony dzień.

- Będziemy po prostu parą dobrych przyjaciół, którym zachciało się turystyki - rzekł, jakby czytając w jej myślach.

Skinęła głową.

- Pomysł pozostawania przez tyle godzin z dala od twojej szanownej siostrzyczki wydaje mi się nie do odrzucenia.

- Pięknie. W takim razie spotkamy się rano na plaży poniżej restauracji „Sea View”. A teraz, jeśli pozwolisz, zrobię ci masaż.

Wyglądasz na strasznie napiętą.

W spojrzeniu Briana, którym prześlizgnął się po jej ciele, nie było bynajmniej braterskich uczuć.

- Myślę, że bardziej od masażu potrzebuję snu.

- Zapewniano mnie, że moje dotknięcie działa wręcz magicznie.

- Nie, dziękuję.

**Trzepnął się dłonią po udzie.**

**- No cóż, widzę, że nie mam szans.**

**- Dobranoc, Brian - powiedziała, osłaniając dłonią ziewnięcie.**

**- Czyli że mam pójść sobie?**

**- Jestem śmiertelnie zmęczona.**

**- Rozumiem. A więc do zobaczenia jutro o dziesiątej.**

**Spała bardzo źle, budząc się niemal co godzina i stwierdzając, że ciągle noc okrywa ziemię. Aż wreszcie jasny promień, który wpadł do pokoju przez szparę w zasłonie, powiedział jej, że musi wstawać i szykować się do wyjścia. Zdecydowała, że przed spotkaniem z Brianem wpadnie jeszcze do chaty Eliego. Była to bodaj ostatnia okazja, by pożegnać się z ptasim doktorem i jego pacjentem Murphym.**

**Wykąpała się, ubrała i uczesała w pośpiechu, dyktowanym bardziej jej wewnętrznym nastrojem niż jakąś koniecznością. Kiedy schodziła po schodach, rozległ się głos kukułki, niemal przeraźliwy w porannej ciszy domu. Melissa wzdrygnęła się, ale nie krzyknęła. Podłoga nie zaskrzypiała pod jej stopami. Drzwi nie trzasnęły przy zamykaniu. Na razie wszystko szło jak z płatka.**

**Eli powitał ją na progu swojej chaty, jak gdyby oczekiwał jej, a ona haniebnie się spóźniła. Ktoś właśnie przyniósł mu pokaleczoną przez kota gajówkę i nowy pacjent wymagał od niego całkowitego skupienia. Melissa tymczasem zabrała się do porządkowania klatek. Pragnęła poczuć się pożyteczną, a poza tym praca odciągała od rozczulania się nad własną osobą.**

**Kiedy więc Melissa wymiatała odchody, sypała ziarno i napełniała pojemniki wodą, EU przemywał gajówce rany i smarował je maścią. Skończyli prawie równocześnie i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zasiedli do herbaty z ziółek i maślanych bułeczek.**

**- Wydobrzeje - powiedział Eli, wskazując ruchem głowy na kartonowe pudło, gdzie na posłaniu z liści leżał ranny ptak. - Nazwałem go Tracy. Imię to! oznacza „ten, który dzielnie walczy”.**

**Melissa poza tym dowiedziała się, że Murphy był już po pierwszych próbach latania w obrębie kuchni i czekał na**

wypuszczenie na wolność. Mimo że tego całą duszą pragnęła i niecierpliwie na tę chwilę czekała, nagle przestraszyła się myśli o wszystkich niebezpieczeństwach, jakie czekały na niego poza ścianami ptasiego lazaretu.

- Tak, wiem. Wiatry, deszcze, inne ptaki. I przede wszystkim ludzie, jego najgorsi wrogowie. Ale Murphy jest wolnym stworzeniem i trzymanie go tutaj byłoby dla niego najsroźszą męczarnią. Gdybym nie przeznaczył go dla Illony, już byś go dzisiaj pewnie nie zobaczyła.

- Czy chcesz oba ptaki wypuścić razem?

- Tak. Murphy zresztą dokonał własnego wyboru, a ja mu tylko w tym pomagam.

- A jeśli w przypadku Illony nie można mówić o żadnym zaangażowaniu?

Eli, głuchy na sarkastyczny ton głosu Melissy, pociągnął głęboki łyk herbaty i odparł z powagą:

- O tej damulce trudno cokolwiek pewnego powiedzieć. Jest nieśmiała, a zarazem ma w sobie coś z kokietki. Mam tylko nadzieję, że odwzajemnia uczucia Murphy'ego. Zresztą, jeśli pojutrze będzie ładna pogoda, przekonamy się o tym.

- Pojutrze wyjeżdżam. Prawdę mówiąc, przyszedłam tu dziś jedynie po to, by pożegnać się z tobą i Murphym.

Spojrzał z autentycznym strapieniem w oczach.

- A jak twoją decyzję przyjął Jeremia? Zaskoczyło ją to pytanie.

- Jeremi? Jeszcze nic o tym nie wie.

- Lecz kiedy się dowie, nie będzie zachwycony. Nie wiedziała, co powiedzieć. Tych dwóch mężczyzn łączyła bliska przyjaźń. Trudno jej było skarżyć się przed jednym, że właściwie czuje się wypędzana z Sandgate przez tego drugiego.

- Jeśli założyć, że w ogóle zauważy moją nieobecność, to całą jego reakcją będzie uczucie ulgi.

- Zauważy i nie będzie zachwycony.

- Nie bardzo zgadzamy się ze sobą, on i ja.

- Zgadzacie się i pasujecie do siebie. Jak dogłębnie nim

wstrząsnęłaś, miałem okazję przekonać się już w czasie pierwszego z nim spotkania po tym, jak przyniosłaś tu Murphy'ego. Ale Jeremiah jest człowiekiem szczególnym. Skrywa swoje uczucia i myśli. Myślę, że to dlatego, że żył przez tyle lat samotnie.

- Ty również, a przecież nie ma w tobie za grosz goryczy czy skrytości.

Uznała, że nadarzyła się sposobność, by zasugerować Eliemu powrót do normalnego świata.

- Nigdy nie czułem się samotny.

Uczynił szeroki gest ręką, którym ogarnął wszystkich swoich gruchających, świergoczących i ćwierkających przyjaciół.

- Kochasz ich, Eli, ale to nie są ludzie - powiedziała, usiłując delikatnością głosu zrównoważyć nagą, brutalną prawdę tego stwierdzenia.

- I dzięki za to Bogu Najwyższemu! Zresztą na ludzkich przyjaciółkach też mi nie zbywa. Odwiedza mnie Jeremiah, a także dwóch innych. Zjawiają się na pogawędkę, przynoszą coś do czytania, niekiedy jakieś ciasto lub udko kurczęcia. Czyż mogę się skarżyć? Jestem szczęśliwym człowiekiem. A teraz mam ciebie.

- Ale ja wyjeżdżam.

- Wrócisz.

- Nie. - Zagryzła dolną wargę. - Chociaż może tu wpadnę jeszcze raz przed odjazdem. Jeśli będę mogła.

Ale teraz stanowczo musiała się pożegnać. Pobiegła kamienistą ścieżką w dół na plażę. Pomimo że minęła już dziesiąta, Brian jeszcze się nie zjawił. Usiadła na piasku, podkulając nogi i opierając na kolanach brodę. Zamyśliła się. Jej myśli krążyły wokół jednego słowa, którym Eli określił siebie i swoją pustelniczą egzystencję. Otóż nazwał on siebie człowiekiem szczęśliwym.

Zagłębiając się w myślach, nie zauważyła zbliżania się Jeremy'ego. Dopiero kiedy stanął nad nią, uniosła głowę i dosięgła spojrzeniem jego smutnych oczu. Miał bladą twarz i wyglądał na zmęczonego. Na myśl, że pojutrze rozstaną się na zawsze, przeszył ją głuchy ból. Już nigdy nie usłyszy jego głosu i nie doświadczy dotyku jego warg. Ale



też wyzwoli się spod hegemonii Yorków.

- Szedłem odwiedzić Elięgo i zobaczyłem cię.

- I pewnie zaraz pomyślałaś sobie, że przyszedłam tu z nadzieją na przypadkowe z tobą spotkanie?

- Ani mi to przez głowę nie przeszło - zaprzeczył. - Czy czekasz na kogoś?

- Na Briana. Spóźnia się.

- Przyjdzie na pewno. - Zaciśnął wargi. - Powinniśmy porozmawiać.

Zignorowała ostatnią uwagę i spojrzała na papierową torbę, którą trzymał w dłoni. Niewątpliwie zawierała butelkę wina oraz zwinięte w rulon gazety i magazyny, które częściowo wystawały.

- Prezenty dla Elięgo? Potwierdził skinieniem głowy.

- Mając takiego przyjaciela jak ty, Eli nie potrzebuje wrogów.

- Nie rozumiem.

- Bo jakież to przyjaciela, który podtrzymuje jego alkoholizm?

Jeremy pobladł i wykrzywił twarz. Wydawało się, że za chwilę wybuchnie gniewem. Najwidoczniej trzymanie siebie w ryzach nie należało do mocnych stron jego charakteru.

- Znasz Elięgo. Więc dlaczego wierzysz w tę gadaninę o nim? Czy choć raz widziałas go zionącego wodą i zataczającego się?

- Nie wszyscy alkoholicy się zataczają - odpaliła.

- Masz rację, oczywiście. Chciałbym tylko wiedzieć, skąd wzięły się te przekłete plotki o nim. Eli nie jest alkoholikiem. To jest wino z jeżyn, które od czasu do czasu mu przynoszę. Zwykł traktować je jako lekarstwo na poprawę krążenia. Wypija szklaneczkę przed snem i mówi, że nie wyobraża sobie lepszej kuracji. - Oddalił się kilka kroków, by zaraz szybko powrócić. Najwidoczniej nie skończył jeszcze swojej tyrady. - Jestem wściekły jak diabli. Ludzie oczerniają go, gdyż nie nosi krawata, nie skarży się na pogodę i nie pojawia się w towarzystwie.

- Być może powinieneś właśnie go do tego namówić.

- By narzekał, kiedy pada deszcz lub wieje zimny wiatr?

- Do bywania wśród ludzi. Jest ujmującym, cudownym

człowiekiem. Ma dużo do zaoferowania innym. A tymczasem całe jego duchowe bogactwo leży jakby odłogiem.

Leży odłogiem? Mógłbym wymienić nazwiska więcej niż kilku ważnych osobistości, które mają wręcz przeciwny sąd. Eli jest uznanym autorytetem w dziedzinie ornitologii. Wydał dwie książki i opublikował niezliczoną liczbę artykułów w fachowych czasopismach. Jeden z tych periodyków mam tu, w tej torbie.

Wyjął go i klękając przy niej na piasku zaczął nerwowo kartkować.

Czy chcesz przeczytać artykuł Eliego? Pięknie! Teraz, kiedy jego bliskość podrażniła wszystkie jej zmysły! Cała logika świata nie mogłaby stłumić w niej kobiety, a wyzwolić czytelniczki. Po tego potrzebny był czas, spokój i dystans.

Chętnie, ale nie w tej chwili,

- Eli nie jest podobny do innych. Będąc też w pewnym stopniu nonkonformistką, powinnaś szanować tę jego odmienną. Żyje życiem, które sam wybrał i które sam kształtuje. Czy nie na tym w gruncie rzeczy polega tak zwane szczęście?

- Zdaje się, że sam sobą udowadniasz prawdziwość tej tezy.

- Czy chodzi ci o to, co próbuję robić?

- Nic nie wiem o tym, co próbujesz robić, ale wiem na pewno, że jestem zmęczona tą ustawiczną walką z tobą na słówka.

Zamknął czasopismo i wrzucił je do torby.

- Masz rację. Moje kłótnie z tobą nie mają żadnego uzasadnienia.

- Lepiej, żebyś już sobie poszedł.

Objęła rękami kolana i oparła na nich czoło.

- Obawiasz się, że nadejdzie Hendricks i zobaczy nas razem?

Do tej pory nie poświęciła Brianowi ani jednej myśli, lecz teraz nagle uświadomiła sobie, że między mężczyznami mogło dojść nawet do wymiany ciosów.

- Okaż rai tę uprzejmość i zostaw mnie samą.

- Chyba zanoszą się na burzę - powiedział patrząc na niebo. -

Spotkałem się z poglądem, że rozhuśtany ocean przypomina po trosze duszę mężczyzny.

Była to dość dziwna uwaga i trudno było uchwycić od razu cały jej sens.

- Jestem pewna, że mowa tu o duszach mężczyzn zmiennych i niestałych.

Nie odpowiedział, tylko wziął do ręki pasmo jej włosów i zaczął trzeć je w palcach w taki sposób, w jaki sprawdza się w sklepie jakość wełny na garnitur czy kostium.

- Niewiele rzeczy dorównuje swym pięknem pięknemu włosowi kobiety. Powinienem właściwie poprosić cię o pukiel na pamiątkę.

- A nie wystarczą obcięte paznokcie?

Nie uśmiechnął się, a ona zawstydzona się swego pytania. Poza tym dostrzegła jakby cień bólu w jego oczach.

- Wolałbym, żeby okoliczności naszego spotkania były zupełnie inne - powiedział głosem niewiele różniącym się od szeptu.

Innymi słowy prawdopodobnie oznaczało to, że wolałby, aby jej ojciec był magnatem naftowym.

- Warunki samemu można tworzyć. One nie są żadnym losem, od którego nie ma ucieczki.

- Przypuszczam, że masz rację - powiedział po dłuższym milczeniu, po czym odwrócił się i odszedł.

Jeszcze całkiem nie zniknął pomiędzy skałami, kiedy nadbiegł Brian, zasapany i pełen pokornych przeprosin z racji swojego spóźnienia.

Wsiadli do samochodu i rozpoczęli wreszcie ów tak upragniony przez Briana wspólny objazd okolicy, podczas którego okrzyki entuzjazmu na widok pięknych krajobrazów skrywały w duszy Melissy nieprzepartą ochotę do płaczu.

Droga wiała się wśród zielonych wzgórz, porośniętych wonnymi iglastymi lasami. Spadała ku mieniącym się w słońcu jeziorom, przecinała urodzajne doliny i zanurzała się pomiędzy domostwa sennych miasteczek i wiosek. Po obu stronach stroiły ją leśne i polne kwiaty i zioła. Żółte od jaskrów i białe od stokrotek łąki zapraszały do odpoczynku.

Zjedli szybki posiłek w starej gospodzie, która niegdyś służyła za

postój dylizansom, po czym poszli napawać wzrok tęczą nad ryczącym wodospadem. Do tamtych kolorów na niebie dodali całą paletę barw dzikich kwiatów zerwanych nad brzegiem rzeki.

W pewnym momencie, gdy schylała się po żółtego kosaćca, Brian pocałował ją w czubek głowy. Dlaczego nie potrafiła odwzajemnić się tym samym uczuciem, które przepełniało jej serce do Jeremy'ego?

- Melissa. Słodka Melissa.

Powtarzał jej imię głosem nabrzmiałym wzruszeniem, jak gdyby pragnąc przekonać siebie o realności jej tak bliskiego istnienia.

Niebezpieczeństwo, jakie czaiło się w tych skądinąd miłych i niewinnych pieszczotach, pobudziło jej czujność. Popełniłaby straszliwy i niewybaczalny błąd, gdyby pozwoliła Brianowi łudzić się, że czuje do niego coś więcej niż przyjaźń.

- Mój znajomy ma w pobliżu niewielki dom letniskowy - powiedział. - Moglibyśmy...

- Nie. Nie moglibyśmy - przerwała mu głosem, który uchylał wszelką dyskusję.

- Obawiałem się tego. - Brian...

Jak mogłaby wyjaśnić mu faktyczny stan rzeczy, zarazem nie raniąc tego niewątpliwie życzliwego jej człowieka?

- A może popływamy?

- Popływam z tobą z wielką ochotą. Gdziekolwiek.

- Więc może na Tahiti? - powiedział z figlarnym uśmiechem i znów przemienił się w dawnego uroczego chłopca.

Ich kąpiel nie trwała długo. Niebawem wrócili do pobliskiego miasteczka, gdzie kupili sobie nawzajem śmieszne prezenty. On wręczył jej czarnego pluszowego kotka, ponieważ, wyjaśnił, miał identyczne jak ona duże zielone oczy, ona zaś obdarowała go czapką z wiatraczkiem, który niesamowicie furkotał podczas chodzenia.

Po smakowitym obiedzie z owoców morza oglądali z tarasu restauracji nastrojowy zachód słońca.

Z nieboskłonu doleciał wibrujący ptasi śpiew. Przybrał na sile, aż w pewnym momencie Melissa rozpoznała szaro-biały błysk na tle

zaróżowionych obłoków. Gdy pierzasty, trzepoczący pocisk osiągnął wierzchołki drzew, spłynęła na ziemię przeczysta, triumfalna melodia. Ptak leciał w słońce, ginął w jego ogniu i cichł, pozostawiając w sercu Melissy uczucie słodkiego smutku.

Również Brian nie oparł się urokowi tej sceny. Patrzył gdzieś w przestrzeń na obraz, który on tylko mógł widzieć. Melissa nagle uświadomiła sobie, że była dotąd zbyt pochłonięta własną osobą. Pomimo tylu spędzonych razem godzin, godzin kojących rany, nie wiedziała o nim dosłownie nic. Chcąc nadrobić to żenujące zaniedbanie, zasypała go pytaniami. Pytała o jego pracę, jego plany na przyszłość i jego sny. Ku jej zdumieniu, odpowiedzi Briana były wymijające. Pomimo spontaniczności i szczerości charakteryzujących jego zachowanie, Brian okazał się mężczyzną nieuchwytnym.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy na drugi dzień Melissa obudziła się, jej pierwszą myślą było, że pokaże się tego dnia publicznie jedynie na koncercie siostry. Rewia mody nie tylko jej nie kusila, lecz wręcz odpychała. Planowała poza tym, w czasie, kiedy nikogo nie będzie w domu, spakowanie się i przygotowanie do wyjazdu. Ale Arlene, okazało się, miała trochę inne pomysły.

- Ta rewia nie ma nic wspólnego z kręceniem tyłeczkiem na wybiegu dla modelek. To całe widowisko. Karnawałowy pochód. Gra świateł, efekty muzyczne, błyski fleszów reporterów z Zachodniego i Wschodniego Wybrzeża.

Arlene miała iść w grupie dziewcząt i kobiet, których kreacje mieściły się w symbolicznej kategorii „Noc i Dzień”. Wynikało stąd niedwuznacznie, że w strojach będą dominowały czerń i biel. Właśnie w jednolitej bieli utrzymana była wieczorowa sukienka Arlene, której atlasowe aplikacje wyszywane były drobnymi perełkami.

- Spódnica jest tak przeraźliwie wąska, że aby się w nią wcisnąć, muszę, bez przesady, położyć się na podłodze.

- I w imię czego te katusze?

- W imię piękna, moja droga, które rzadko kiedy chodzi w parze z wygodą. A zgadnij, w czym będzie moja kochana mamuśka?

- Natalie?

- Tak. W czarnych tiulach i falbanach. I będzie sobą tak przejęta, że nawet ciebie nie zauważy. Obiecuję. Zresztą możesz założyć ciemne okulary i zająć jakieś miejsce z tyłu.

- Dla lepszego kamuflażu mogłabym jeszcze owinąć się w swój prochowiec, lecz, niestety, został w Albany. Poza tym jutro z samego rana wyjeżdżam - powiedziała czując, że słabnie w swoim postanowieniu. - Nie chcę nikogo widzieć.

- Nie musisz obawiać się obecności Jeremy'ego. Zapewnienie to zaniepokoiło ją. Czyżby Arlene domyślała się, co zaszło pomiędzy



nimi?

- Gwarantujesz to?

- Nie na piśmie, ale z ręką na sercu. Wiesz równie dobrze jak ja, że mężczyźni nienawidzą tego rodzaju widowisk. Todd i Brian już się wymówili. Och, Missy, proszę, nie odmawiaj mi. Będę przez miesiąc za ciebie zmywała naczynia.

A więc ugięła się i poszła. I wszystko było dokładnie tak, jak obiecała Arlene. Z jednym małym wyjątkiem. Otóż okazało się, że Jeremy wcale nie dostaje wysypki na widok damskich fatałaszków. Siedział tylko cztery stoliki dalej, czyli stanowczo zbyt blisko, by Melissa mogła zachować spokój i pogodę ducha. Zauważyła, że jest w towarzystwie teściowej i ma na sobie szarą sportową marynarkę, po czym wszystkie swoje wysiłki skoncentrowała na ukryciu się za bukietem stojącym na stole. Bez rezultatu. Dostrzegł ją już po minucie.

Pozdrowił ją skinieniem głowy, lecz ona udała, że całą jej uwagę pochłonał rozpoczynający się właśnie pokaz. Na szczęście w tym samym momencie przygaszono górne światła i ona tylko była świadkiem swojego rumieńca.

Rewię otwierały „Pory Roku”. Wiosna, lato, jesień i zima reprezentowane były odpowiednimi barwami, tkaninami, stylami i rodzajami ubiorów. Widziało się więc kostiumy kąpielowe i tenisowe, sukienki dla gospodyń domowych, kreacje balowe, kurtki przeciwdeszczowe oraz sztuczne i naturalne futra. A wszystko to w zmieniającej się w tle scenerii, której jakość i smak świadczyły o artystycznym profesjonalizmie.

Kiedy jako pierwsza z grupy „Noc i Dzień” pojawiła się Natalie, jej powiewna sukienka przemawiała tyleż do zmysłów, co do wyczucia elegancji. Arlene w swojej obcisłej białej sukience, z czarnymi kędziorami na prześlicznej główce wzbudziła żywiołową reakcję publiczności, przy czym niektóre panie nie poprzestały na oklaskach, lecz zaraz sięgnęły po ołówki i szkicowały model.

- Czy to miejsce jest wolne? - rozległ się nad uchem Melissy głos Jeremy'ego.

Chciała skłamać, powiedzieć, że oczekuje kogoś, ale zaskoczenie było zbyt duże. Kiedy znalazła wreszcie odpowiednie słowa, Jeremy już siedział na krześle obok.

- Miałem nadzieję, że spotkamy się wczoraj wieczorem - powiedział.

Zgodnie z planem rocznicowych imprez, który Natalie powiesiła w holu, wczoraj odbył się uroczysty obiad połączony z tańcami w miejscowym sportowym klubie.

- Miałam inne plany - odparła.

- Pomyślałem nawet, że nie zjawiłaś się, aby uniknąć spotkania ze mną, lecz chyba znowu sobie pochlebiałem, prawda?

Milczała. W pogłębiającej się, ciężkiej jak ołów ciszy przy ich stoliku słyhać było tylko, jak Jeremy uderza rytmicznie palcami, o szklankę z wodą mineralną.

Ktoś śpiewał popularną, nastrojową piosenkę głębokim barytonem Binga Crosby'ego.

- Co tak siedzicie, jak te dwa milczki-ponuraczki? - Arlene, zadyszana, szczęśliwa i rozpromieniona, opadła na krzesło po przeciwnej stronie stolika. - Dzięki Bogu, mój występ mam już za sobą. Jestem tak głodna, że połknęłabym konia z kopytami. Missy, czy masz ochotę na tę sałatkę z(kurczęcia?

- Możesz zjeść wszystko - powiedziała Melissa.

- Dzięki. Jeremy, jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się tutaj zobaczyć.

- Ja również nie spodziewałem się, że tutaj się znajdę. Ale zapowiadają deszcz, a Winifred ma uraz na punkcie mokrych nawierzchni.

- I służysz teściowej za szofera? Arlene nabrała sobie całą górę sałatki.

- Coś w tym rodzaju - odparł z uśmiechem.

- Z prognozą trafili w dziesiątkę. Leje jak z cebra. -Arlene dotknęła dłoni Melissy, wskazując głową na prezentowaną właśnie błękitno-zieloną sukienkę. - Czy nie szałowa?

- Tak, bardzo udana - zgodziła się Melissa, nie widząc niczego.

Jeremy bez reszty przykuwał jej świadomość.

- Udana? - Arlene wybuchnęła śmiechem. - Udana jest ta sałatka z kurczęcia, którą pałaszuję. Ale ta sukienka wprost zapiera dech w piersiach.

- W porządku. Jest piękna.

- I będziesz wspaniale w niej wyglądała. Jest twoja. Melissa uśmiechnęła się. Czy jej piękna siostrzyczka w ogóle miała pojęcie, ile ta sukienka mogła kosztować?

- Niestety, mój ostatni milion wydałam wczoraj.

- Pozwól mi za nią zapłacić - zaofiarował się Jeremy.

- Nie bądź śmieszny.

Zbyt zaskoczyła ją ta oferta, by swoją odmowę sformułować grzeczniej.

- Jean ma rację. Jest uszyta jakby specjalnie dla ciebie.

- Już znasz moją odpowiedź.

- Musisz wiedzieć, że nie jest to zwykły pokaz mody. Dochód idzie na cele charytatywne.

- Więc mam być tą, która doświadczy skutków twojej dobroczynności? Chcesz kupić tę sukienkę, kup ją dla teściowej.

Zacisnęła usta.

- Winifred kupiła już sobie dwie czy trzy.

- Kobieta nigdy nie ma za dużo szmatek w szafie - zdobyła się na sarkastyczny komunał.

- Jestem dokładnie tego samego zdania. Czy zmienisz postanowienie?

- Mogę zmienić co najwyżej kandydatkę do sukienki. Dlaczegoż by nie Natalie?

Grzmotnęła pięścią w stół, aż podskoczyły talerze i sztućce. Spojrzano ku nim od sąsiednich stolików.

- Dlaczego, do jasnej cholery, mam kupić jej sukienkę?

- Nie wiem. A czy nie powinieneś?

Arlene, widząc, że sprawy zmiernają w niedobrym kierunku, postanowiła interweniować.

- To pięknie z twojej strony, Jeremy, że zaproponowałeś Missy

kupno tej sukienki - powiedziała przymilnym, słodkim głosem. - Ale ona jest piekielnie niezależna.

Jeremy opuścił głowę, co upodobniło go do szarżującego byka.

- Kiedy nie zjawiłaś się wczoraj w klubie -. powiedział zwracając się do Melissy - pomyślałem, że to może dlatego, iż zniszczyłaś wówczas u mnie swoją sukienkę i nie masz drugiej.

- Przyjechałam tu z dostatecznym zapasem ciuchów.

- A może porozmawiamy o pogodzie? - wtrąciła Arlene.

Jeremy wstał od stolika.

- Prześlę ci tę sukienkę.

- Nie założę jej.

- To ubierz w nią, do diaska, stracha na wróble i postaw go sobie w swoim przydomowym ogródku.

Kiedy Jeremy, wściekły i rozdygotany, poszedł sobie, Arlene wybuchnęła:

- Skąd u ciebie ten upór osła, ten talent psucia wszystkiego?

Melissa podniosła rękę w obronnym geście.

- Przestań na mnie napadać.

- Kiedy ja wychodzę ze skóry, aby pozyskać Jere-my'ego, który jest przecież bratem Todda, ty nastawiasz go nieprzychylnie, gorzej - niemal wrogo.

Melissa położyła dłoń na rękę siostry.

- Wracajmy do domu. Nie potrzebujemy pieniędzy Natalie.

Znajdziemy jakiś inny sposób, aby opłacić twoją wycieczkę do Grecji.

- Zapomniałaś o jednym. O tym, że kocham Todda i że on mnie kocha.

Melissa westchnęła.

- Przykro mi, moja mała. Jeremy wyrzuci Todda z rodzinnego interesu, jeżeli ten nie wyrzuci ciebie ze swojej głowy i serca.

Powiedział mi to.

- Mam w nosie interes Yorków. Todd i tak sobie poradzi. Nie mówię, że chcę zaciągnąć go do ołtarza. Ale będziemy spotykać się i nikt nam w tym nie przeszkodzi. Nawet ty, Missy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wreszcie nadszedł ów najważniejszy moment - recital Arlene. Wybrała wyłącznie utwory Chopina, a kiedy ucichły tony ostatniego mazurka, na sali zapanowała cisza. Aplauz, jaki potem nastąpił, przeszedł wszelkie oczekiwania. Łzy dumy stanęły w oczach Melissy, kiedy słuchała burzy braw i wołań o bis. Przeżycie to w pewnej mierze rozgrzeszało nawet fałsz i obłudę, w jakiej ona i Arlene żyły tu od tygodnia.

- Ależ masz siostrzyczkę, kotku - szepnął siedzący obok Brian, kiedy słuchacze zaczęli powoli opuszczać widownię. - Gdzie ona się nauczyła z taką maestrią uderzać w klawisze?

- Myślisz, że wiem? Miałyśmy tego samego nauczyciela gry na fortepianie.

- Być może posiadasz innego rodzaju talenty.

- Dam ci znać, jeśli odkryję w sobie choć jeden.

- Wolałbym sam być tym odkrywcą. Rozmawiając z Brianem, Melissa przez cały czas

przeczesywała spojrzeniem rzędy audytorium. Szukała Jeremy'ego, aż w końcu odnalazła go. Siedział sam w ostatnim rzędzie i nie ruszał się z miejsca, mimo że obok niego zrobiło się już pusto. Żegnaj, Jeremy, pomyślała.

- Wychodzimy? - zapytał Brian.

- Owszem, lecz najpierw muszę pogratulować Arlene.

Chyba, wydawało się, wszyscy wpadli na ten sam pomysł, gdyż tłok w przejściu za kulisy był niemożliwy do sforsowania i musieli czekać w kolejce. Brian w pewnym momencie ulotnił się, by przynieść coś do picia.

- Melissa, prawda? Chyba dobrze pamiętam twoje imię? - Zimna dłoń Winifred Havelock zacisnęła się na jej ramieniu.

- Tak.

- Córką Natalie, moim zdaniem, była cudowna. Jak ktoś tak piękny może być zarazem obdarzony takim talentem? Na dziś wieczór

zaprosiłam kilku przyjaciół. Jak sądzisz, czy zgodzi się dla nas zagrać?

- Jestem tego pewna.

Melissa wiedziała, że pokrzepiona tyłoma dowodami uznania Arlene mogłaby teraz grać dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

- Mam nadzieję, że również się zjawisz. Teściowa Jeremy'ego nie była przystojną kobietą.

Miała skórę w żółtawym kolorze pergaminu i zbyt duże oczy w stosunku do drobnej twarzy. Były poza tym zawsze zwilgotniałe, jak gdyby napełnione pierwszą łzą płaczu. Ale Winifred, pomimo wszystko, mogła się podobać.

- Nie planowałam...

- Nie miałyśmy właściwie okazji się poznać. Słyszałam, że malujesz.

- Takie sobie nieśmiałe próby dla własnej przyjemności.

- Moja córka też malowała. Mówiła, że nakładanie farb na płótno działa na nią ozdrowieńczo.

- Tak. Znam ten rodzaj przeżycia.

- Malowała głównie pejzaże i kwiaty. Przedkładała piękno natury nad brzydotę abstrakcyjnych uduziwnień. Chciałabym pokazać ci kilka jej obrazów. Przyjdź, proszę - ponowiła zaproszenie i dołączyła do swoich przyjaciół.

- Damulka, jak na swój wiek, dobrze się trzyma - powiedział Brian, podając Melissie szklankę ponczu.

- Zaprosiła mnie na przyjęcie.

- Ale nie pójdziesz, prawda? - zapytał ostrym głosem.

- Chyba jednak będę musiała się pokazać. Nie chcę okazać się wobec niej niegrzeczna.

- Nie jestem przekonany o słuszności tej decyzji. Planowałaś wczesnym rankiem wyjechać z Sandgate, pamiętasz?

- Przed wyjazdem muszę zobaczyć się z Ar... to jest Jean, która tutaj wydaje się niedostępna. W domu Winifred, mam nadzieję, będę mogła się do niej zbliżyć. Zresztą nie zabawię tam długo.

Brian wypił łyk ponczu i zabawnie wykrzywił twarz. Jego ocena



napitku, gdyby dotarła do uszu organizatorów, przyprawiłaby ich o rumieniec wstydu.

Winifred Havelock napomknęła w rozmowie z Melissa, że oczekuje „kilku przyjaciół”. Ale stół w jej ogromnym salonie, obfitością i różnorodnością wystawionych na nim potraw, mógłby nasycić wszystkich słuchaczy koncertu Arlene. Zaniepokojona faktem, że jej siostra jeszcze nie zjawiała się, Melissa nabrała na talerz jakiejś wymyślnej sałatki i usiadła w kąci, by wysłuchać wiązanki pieśni miłosnych w wykonaniu starszej pary małżeńskiej.

Brakowało nie tylko Arlene. Również ani śladu Todda i Jeremy'ego. Niemożliwe, by zlekceważyli obowiązki wypływające z powiązań rodzinnych. Coś szeptało jej do ucha, że powinna jak najszybciej wracać do domu.

Odszukała Briana. Trzymał w ręce szklankę z czymś o wiele mocniejszym i szlachetniejszym niż zwykły poncz owocowy.

- Odwiozę cię do domu - powiedział - tylko muszę szepnąć słówko Nat. Widziałaś ją?

- Jeszcze nie. Ale w tym ścisku i rozgardiaszu trudno, doprawdy, kogoś zauważyć. Poza tym nie musisz się fatygować. Przyjechałam tu własnym samochodem. Teraz wracam i idę prosto do łóżka. Jutro o świcie wyruszę do Albany.

- Czy aby na pewno?

- Na pewno.

Dotknął palcami swych ust, a potem przeniósł pocałunek na jej wargi.

- A więc do zobaczenia w Albany.

Jechała promenadą nad brzegiem morza. Patrzyła prosto przed siebie na asfalt nawierzchni. Niepowtarzalne piękno morskiej panoramy przestało się liczyć. Pozostał tylko bezmierny smutek w sercu.

Kiedy wchodziła do domu, zadzwonił telefon.

- Och, Missy, dobrze, że to ty, a nie kochana mamuśka. - Głos Arlene był ledwie słyszalny, jakby dobiegał z innego kontynentu.

- Skąd dzwonisz?

- Jestem z Toddem.

- Mogłam się domyślić. Ale gdzie jesteście?

Z tamtej strony zapadła dłuższa cisza, w której dawało się wyłowić niewyraźne szepty.

- Nieważne - odezwała się wreszcie Arlene. - Ważne, że ja i Todd mamy zamiar się pobrać.

Melissa przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha, mając nadzieję, że się przesłyszała.

- Pobrać się? Kiedy?

- Teraz. Natychmiast. Miałam z Natalie potworną awanturę. Powiedziała mi mnóstwo strasznych rzeczy. Po czymś takim nie mogłam już wrócić do tego domu. Todd był tak słodki i troskliwy, że...

- Nic mnie nie obchodzi, jak słodki był Todd. Czy z tym małżeństwem to nie żarty?

- Wiem, że miałam nie podejmować żadnych pochopnych decyzji. Ale w tym nie ma nic pochopnego. Todd i ja mamy poczucie, jakbyśmy znali się od lat. Nie ma tajemnic pomiędzy nami. Nie chcę wyrzekać się muzyki. Todd jest dumny ze mnie i przyrzekł być moim oparciem.

Arlene paplała podniesionym głosem szczęśliwego dziewczęcia, zaś Melissa cierpliwie słuchała. Wręcz bała się przerywać. Mogła nieopatrznie powiedzieć coś takiego, czego by później bardzo żałowała.

- Czy tego wszystkiego jesteś całkowicie pewna? - zapytała wreszcie, kiedy Arlene zabrakło już nowych słów dla wyrażenia swojego szczęścia.

- Tak, całkowicie. I proszę, powiedz mi, że cieszysz się z mego powodu.

Drżenie głosu Arlene sygnalizowało, że jest ona na granicy łez. Melissa nie chciała, aby w dniu swojego ślubu jej siostra granicę tę przekroczyła.

- Bardzo się cieszę, kochanie, ale to dla mnie taka niespodziewana wiadomość. Czuję się po trosze oszukana. Chciałabym być tam z

wami.

- Będziesz. Urządzimy później prawdziwe przyjęcie weselne. I oddasz mnie na nim panu młodemu w zastępstwie rodziców. A teraz radzę, żebyś jak najszybciej opuściła Sandgate. Natalie, przypuszczam, jest sina z wściekłości.

- Czy zna wasze plany?

- Wie, że jestem z Toddem, i prawdopodobnie kojarzy pewne słowa, które jej powiedziałam.

- Wyjeżdżam jutro rano, ale...

- Muszę kończyć - przerwała jej Arlene. - Będę w kontakcie. Jedź ostrożnie. Rozpadało się. Ściskam.

A więc Natalie kipi wściekłością. Melissa nie miała ochoty, by gniew tamtej skupił się na niej. Wciąż była możliwa zmiana planów. Wyjedzie natychmiast i przenocuje w pierwszym napotkanym motelu - poza zasięgiem niszczącego wulkanu.

Szkopuł w tym, że wszystkie motele wokół Sandgate najpewniej były w tym tygodniu zapchane do ostatniego miejsca, zaś fatalna pogoda i późna pora uniemożliwiały dłuższą jazdę. Ostatecznie, kiedy burza pod postacią Natalie nadejdzie, ona, Melissa, będzie już w łóżku.

Rzuciła się do łazienki i wzięła szybki prysznic. Osuszała właśnie włosy ręcznikiem, kiedy rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Ani Natalie, ani Brian nie zapowiadaliby w ten sposób swojego powrotu. Któż więc mógł to być? Odchyliła zasłonę i serce jej podskoczyło. Przed domem stał samochód Jeremy'ego,

Wzięła się w garść i zarzuciła szlafrok na nocną koszulkę. Uczesła włosy. Nie śpieszyła się, mimo że pukanie stawało się natarczywe.

Gdy otworzyła drzwi, Jeremy wyminął ją i zrobił szybki przegląd parterowych pomieszczeń. Dopiero gdy skończył swoją lustrację, zwrócił się ku niej z rękami wbitymi w kieszenie wiatrówki. Miał mokre od deszczu włosy i nie trzeba było zgadywać, że nie jest w najlepszym nastroju.

- Gdzie jest Hendricks?

- Zjrzyj jeszcze pod łóżka na górze.

- Jesteś sama?

- A jak sądzisz?

Podszedł do okna i szarpnięciem rozsunął kotary.

- Pieska pogoda. Czy ktoś był tutaj?

- Kto na przykład?

- Todd. Widziałaś go?

A więc o to chodziło. Podejrzewał, że patronowała ucieczce dwojga kochanków. Zaczęła żałować, że w ogóle otworzyła mu drzwi.

- Wynajmij detektywa, jeśli interesuje cię miejsce pobytu twojego brata.

- Czy mogłabyś poczęstować mnie kawą? Wyglądał teraz na śmiertelnie znużonego.

- Jest tylko rozpuszczalna.

- Wypiję jakakolwiek. Co z Jean?

Usiadł na brzegu tapczanu i przeczesał dłonią włosy.

Melissa ani myślała ułatwiać mu sprawy. Musiał wpierw jej powiedzieć, co go faktycznie gryzło. Miała nadzieję, że jeśli ubierze swoje obsesje w słowa, zobaczy całą ich śmieszność.

- Dlaczego pytasz?

Poderwał się i podszedł do niej. Cofnęła się z przerażeniem. Dopiero później dostrzegła, że to, co wzięła za wściekłość w jego oczach, było głębokim strapieniem.

- Nie przyjechałem tu, aby awanturować się z tobą, Melisso. Boleję, że wszystkie nasze spotkania kończą się mniejszą lub większą kłótnią. Ale w tej chwili leży mi na sercu wyłącznie Todd. Muszę odnaleźć go, zanim...

Nie dokończył zdania, ale Melissa mogła dokończyć je za niego. Dla Jeremy'ego miłość tamtych dwojga była po prostu nie do pomyślenia. A ona nawet nie miała prawa winić go za to. Był urodzonym snobem. Nie można zmienić ludzkiej natury, jak nie można zmienić koloru oczu.

- Dzwoniła kwadrans temu.

- Jean? Gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Czy jest z Toddem?

- Była, i najprawdopodobniej ciągle są razem - uciekła się do wykrętu.

Znów usiadł, jak gdyby przytłoczony ogromnym ciężarem.

- Czy gdybyś знаła ich zamiary, powiedziałaś mi o nich?

- Nie. Zdejmij kurtkę, zupełnie przemokła.

- Za chwilę wychodzę.

Przypomniała mu o kawie. Przez chwilę namyślał się, by w końcu kiwnąć głową.

Wzruszył ją wyraz cierpienia widoczny na jego twarzy. Gdyby tak mogła otoczyć go ramionami i pocieszyć...

Niewątpliwie zaszczepiono w nim przekonanie o istnieniu wyrazistych podziałów klasowych. Był Yorkiem, a więc kimś wyniesionym ponad przeciętnych ludzi. Żyjąc w społeczeństwie masowym, kultywował tradycje ubiegłego stulecia. Zabraniał sobie i swojemu bratu iść za głosem serca. Jeśli, oczywiście, to serce biło dla osoby, która znajdowała się na dole drabiny społecznej.

Nagle Melissa, zupełnie spontanicznie, zaczęła wychwalać liczne zalety Arlene. Posunęła się nawet do zapewnienia go, że w uczuciu dziewczyny do Todda nie ma ani krztyny wyrachowania czy interesowności.

- O czym ty, do diaska, mówisz? - warknął.

- O tym, że Todd jest inny od swojego brata, a tym samym godny tej miłości, jaką ona go obdarza.

- Wiedz zatem, że Natalie nie powiedziała ci wszystkiego. Zresztą nie mogła, zważywszy na twoje bliskie stosunki z Jean.

- Teraz z kolei ja spytam, o czym ty, do diaska, mówisz?

Melissa czuła się zupełnie zbita z tropu.

- Pewnie sądzisz, że chodzi mi o wysokość posagu Jean. I, rzecz jasna, nie dostrzegłaś, jak bardzo lubię tę dziewczynę. Problem w tym, że ona i Todd: nie mogą się w sobie zakochać, a tym bardziej wejść w związek małżeński.

**Zakrawało na ironię, pomyślała, że to ona właśnie, praktycznie obca osoba, musiała przekonywać jednego z braci, aby pozwolił drugiemu dokonywać wyborów na swój własny rachunek.**

**- Todd jest już dorosłym mężczyzną. Nie możesz opiekować się nim przez całe życie.**

**- Na miłość boską, Melisso! Tu nie chodzi o opiekę. - Miał teraz twarz w kolorze popiołu. - Jean jest moją córką!**

RS



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Melissa wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, zbyt zdumiona i oszołomiona, aby zaprzeczać i prostować. Jeremy tymczasem wstał, zdjął wiatrówkę i rzucił ją na krzesło, Następnie, próbując się rozprężyć, rozmasował sobie kark.

- Skaranie boskie - mruknął, rozważając w duchu to, co musiał powiedzieć.

Melissa siedziała cichutko jak myszka pod miotłą. Czekwała w napięciu na pierwsze słowo, które przebijało się właśnie przez pancierz skrytości. Zegar na kominku wybił wieczorną godzinę.

- Cofnijmy się o wiele lat - rzekł w końcu, biorąc ze stołu jej przycisk do papierów i przekładając go z ręki do ręki. - Ja i Natalie byliśmy bardzo młodzi i do szaleństwa w sobie zakochani. Jej uroda lśniła niczym wiosenne niebo i pomimo braku akceptacji ze strony moich rodziców prawie że nie rozstawaliśmy się. Nagle zniknęła bez słowa wyjaśnienia. Dzwoniłem, krążyłem wokół jej domu, bez rezultatu. Wkrótce potem całą rodziną wyprowadzili się z Sandgate. Byłem wewnętrznie zdruzgotany, jakby umarły za życia.

Następnie wyznał z hamowaną furją, jak to pewnego dnia jego ojciec przyznał mu się do wręczenia Natalie dużej sumy pieniędzy w zamian za usunięcie się z jego życia. W pierwszym odruchu chciał wsiąść do samochodu i szukać jej, lecz zaraz uświadomił sobie całą płytkość jej uczuć do niego. Sprzedała swoją miłość.

Potrząsnął szklanym przyciskiem, jakby chcąc ukoić swoją udręczoną duszę widokiem równo padającego śniegu.

Deszcz bębnił o szyby i parapety okien.

- Kathryn Havelock znałem od dzieciństwa. Była słodką, delikatną istotą, która posiadała rzadką zaletę otwierania się na innych i wysłuchiwanie ich. Potrzebowałem kogoś bliskiego, przed kim mógłbym się wywnętrzyć. Kiedy ogłosiliśmy nasze zaręczyny, moi rodzice nie posiadali się z radości. To małżeństwo jak najbardziej leżało w ich planach.

Dopiero po śmierci ojca dowiedział się od adwokata rodziny, że Natalie urodziła dziecko. Córkę. Jego córkę. Ojciec płacił matce swojej wnuczki alimenty, ukrywając to przed synem.

- Kochałem ojca, lecz wtedy przekląłem pamięć o nim. Pozbawił mnie mojego dziecka.

Natychmiast skontaktował się z Natalie z propozycją przedstawienia Jean całej prawdy. Odrzuciła ten pomysł, słusznie skądinąd argumentując, że dla dziewczynki, która widziała swojego prawdziwego ojca w ojcu przyszywanym, byłoby to prawdziwym szokiem. Skutków psychicznego wstrząsu nie sposób było przewidzieć.

Obecny przyjazd Natalie z Jean z okazji dwóchsetlecia Sandgate miał swoje prozaiczne powody. Chodziło o pieniądze, duże pieniądze. Natalie chciała, by Jean doskonaliła swoją grę u jakiegoś sławnego profesora w Europie. Nauka miała potrwać kilka lat i oczywiście matka musiała towarzyszyć córce. W rezultacie koszty pobytu i kształcenia zostały oszacowane na olbrzymią sumę. Jeremy, pełen rezerwy dla prawdomówności Natalie, uzależnił wypisanie czeku od osobistego przekonania się o talencie i umiejętnościach Jean. Stąd pomysł koncertu.

Melissa słuchała, nie przerywając. Z każdym słowem Jeremy stawał się jej bliższy i bliższy. Wiedziała już, że go kocha, lecz wiedziała też, że za chwilę powie mu coś takiego, co może go oddalić od niej na zawsze. Co może nawet wzbudzić w nim do niej wstręt i pogardę.

- Natalie kłamała. Wszyscy oszukiwaliśmy cię. Kiedy spojrzał jej prosto w oczy, przeszedł ją zimny dreszcz.

- A więc mijałaś się z prawdą, gdy zapewniałaś mnie, że nie znasz miejsca pobytu Todda i Jean? Teraz wiesz, jakie to ważne.

- Błagam cię, nie odzywaj się, aż skończę. A mam do powiedzenia niełatwą rzecz.

Wstała i podeszła do okna. Błysnęło oślepiającym zygzakiem, po czym prawie natychmiast rozległ się suchy grzmot. Mało brakowało, aby Melissa roześmiała się. To wszystko przypominało scenę z

melodramatu.

- Jean nie jest twoją córką.

Coś tam zaczął mówić, lecz uciszyła go machnięciem ręki.

- Dziewczyna, o której mówimy, ma na imię Arlene i jest moją młodszą siostrą.

Następnie, wciąż patrząc w noc i deszcz i po omacku szukając słów, które by mogły najmniej ją obciążyć, opowiedziała bezładnie całą historię fałszerstwa. Gdy zaś skończyła, odwróciła się w stronę pokoju z oczyma wbitymi w dywan.

Czekała teraz na jego reakcję. Ale on milczał.

A może niepotrzebnie stała tu jak kukła? Może należało wybiec z domu, wsiąść do samochodu i uciec stąd, a potem spróbować zapomnieć o tym tygodniu w Sandgate? Przecież już raz, w dzieciństwie, udało się jej otrząsnąć z rozpacz po utracie najlepszej przyjaciółki, która wyjechała do Teksasu. Dlaczegoż więc nie miałyby z czasem wyleczyć się również z choroby, której na imię było Jeremy?

- Zdecydowałaś się brać czynny udział w oszustwie Natalie - odezwał się wreszcie głosem ostrym jak brzytwa i zmienionym nie do poznania. Czy tobie również zapłacono za to, byś zajęła się mną i odciągała moją uwagę od całej tej maskarady?

- Za nic mi nie płacono.

- Więc liczysz na profity związane z małżeństwem twojej siostry z Toddem. Bardzo sprytne.

- Mylisz się.

Uczyliła krok w jego kierunku, ale on wyciągnięciem ręki przykuł ją do podłogi.

- Nie nadużywaj swojego szczęścia, kochanie, bo mogę przestać nad sobą panować i zrobić ci krzywdę. A teraz ubieraj się. Szybko. Zabieram cię do mojego domu.

- Ale dlaczego?

Drżąc, owinęła się mocniej w poły szlafroka, jak gdyby cienki materiał mógł ją jakimś cudem zabezpieczyć przed furią tego mężczyzny.

- Będiesz gościem Winifred do momentu, aż znajdę mojego brata. Coś w rodzaju domowego aresztu. I uprzedzam. W przypadku jakiegokolwiek próby ucieczki oddam cię w ręce szeryfa.

- A jak to wszystko wytłumaczysz swojej teściowej?

Nieprzyjemnie się roześmiał.

- Wytłumaczenie pozostawiam tobie. Na przykład powiesz jej, że bałaś się zostać sama podczas burzy.

- Nie uwierzy mi.

- Uwierzy. Jest zbyt szlachetną osobą, aby posądzać innych o kłamstwa. I ruszaj się, albo wywolekę cię w tym, w czym stoisz. A wówczas sensowne wytłumaczenie stanie się dużo trudniejsze.

Winifred była tak zadowolona z przybycia nieoczekiwanego gościa, że ani myślała pytać o powody tej późnej i trochę dziwacznej wizyty. Niestety, wzięła już proszek nasenny i rozmowę z Melissą zmuszona była odłożyć do rana. Wydała tylko polecenie służącemu, aby przygotował Melissie pokój, po czym z widocznym żalem pożegnała się.

Jeremy odjechał zaraz po tym, jak przekazał „aresz-tantkę” w ręce teściowej.

Z kolei „cela” przepychem mebli, dywanów i drogocennych bibelotów dorównywała innym pomieszczeniom tego niewątpliwie wspaniałego, magnackiego domu.

Melissa z góry uznała, że w tej wieży z kości słoniowej nie ma szans na zaśnięcie. Wzięła do ręki jakieś czasopismo poświęcone modzie, lecz wkrótce zdjęcia utraciły wyrazistość i ostrość konturów. Zobaczyła na komodzie papier i długopis, i odczuła pokusę napisania listu. Ale czy Jeremy zada sobie trud przeczytania wyjaśnienia, skoro nie chciał go nawet wysłuchać? Pytanie to pociągnęło za sobą dalsze. Czy Jeremy zdoła odnaleźć Arlene i Todda? I co zrobi, jeśli ich odnajdzie? Lub co zrobi, jeśli jego wysiłki spełzną na niczym?

Wyjrzała przez okno. Ciągle padało, z tym że rześista ulewa zmieniała się w monotonną siąpaninę. Czas włókł się rozpaczliwie wolno.

Nagle pomiędzy drzewami alejki wiodącej na podjazd pojawiły się światła wozu. Samochód przybliżył się i stanął. Kierowca, który wysiadł z niego, był sam. Serce Melissy zaczęło łomotać. Przypomniała sobie swoje ostatnie, najbardziej dręczące pytanie. Co Jeremy zrobi, jeśli jego wysiłki spełzną na niczym?

Kiedy wszedł do pokoju, bezszelestnie otwierając i zamykając za sobą drzwi, ciągle stała przy oknie.

- Natalie wyparowała - oznajmił. - Podobnie Hendricks. Ale ty już o tym wiedziałaś, prawda? Wykonałaś perfekcyjnie swoje zadanie, maleńka.

W przyćmionym świetle sypialni nie widziała dokładnie wyrazu jego twarzy, za to wyraźnie słyszała jego ciężki oddech.

- Nie miałam żadnego zadania. Ja tylko...

- Zabrałaś się z nimi na przejażdżkę?

- Lepiej zmień to mokre ubranie. Jeszcze się przeziębisz.

- Wzruszająca troskliwość. Ale znam lepsze sposoby rozgrzania się. Ostatecznie muszę mieć coś za swoje pieniądze i stracony czas, nie sądzisz? Zbliź się i pocałuj mnie dokładnie tak, jak wówczas w lesie nad strumykiem.

Kiedy nie zastosowała się do jego żądania, sam uczynił to, czego od niej oczekiwał. Jego pocałunek był bolesny i rozkoszny zarazem, wzbudzał rozpacz i dawał wyobrażenie pełni szczęścia.

- Co powiesz na pomysł powtórzenia pikniku? - wyszeptał w jej usta.

Bezgłośnie zaszlochała.

- Masz pełne prawo traktować mnie w ten sposób.

- Dobrze jest wiedzieć, że ma się jakieś prawa. Ale tym razem żadnego udawania, żadnych oszukańczych gier. Czy potrafisz to, Melisso? Bo masz na imię Melissa, prawda?

Skinęła głową.

- Światełko prawdy migocze w ciemnościach ułudy.

- Nie dręcz mnie. To boli - wyszeptała z błaganiem w oczach.

- Tym razem to mój piknik. Ja ustalam reguły.

Przypominali w tej chwili dwóch gladiatorów, gotujących się do

walki. Pierwszy zaatakował Jeremy. Położył dłoń na jej biodrze, by zaraz przesunąć ją wzdłuż boku ku piersiom. Jej przyspieszony oddech poinformował go, że nie będzie obrony. Dopiero kiedy porwał ją na ręce i położył na łóżku, zdobyła się na słaby protest.

- Nigdy nie mów mi „nie”, maleńka. Mamy przed sobą całą noc i zamierzam poznać najskrytsze zakątki twojego pięknego ciała.

- Służba mogła widzieć, jak tu wchodziłeś.

- Wszyscy spali. Poza tym, wchodząc starałem się zachować dyskrecję.

- Twoja teściowa.

- W noce jak ta Winifred zazwyczaj szpikuje się środkami nasennymi. Mógłbym wytoczyć całą baterię dział i walić z nich na wiat, ona zaś spałaby jak suseł.

Szybkimi, nerwowymi ruchami rozebrał się i położył przy niej na łóżku. Następnie rozpoczął swój „piknik”, ona zaś, ani chyba żadna inna kobieta na świecie, nie mogła mu mieć za złe tych namiętnych, a zarazem czułych pocałunków, jakimi okrywał jej włosy, czoło, policzki, szyję i usta.

- Kocham cię - wyznała z całą prostotą swojego uczucia.

Znieruchomiał. Potem spojrzał na nią oczyma człowieka, który bardzo chce uwierzyć zasłyszonym słowom.

- Och, Melissa, Melissa - wymówił dwa razy jej imię, jak gdyby sycił się jego brzmieniem.

Zaraz też jego pieśszoty stały się gwałtowniejsze, a pocałunki jeszcze bardziej zachłanne. W swym zamroczeniu nie mógł pomimo wszystko nie zauważyć, że nie jest już tylko zdobywcą, lecz również zdobywanym.

- Czy jest coś w tobie, co nie byłoby doskonałe? - zapytał w pewnym momencie.

Dziwne. Dokładnie to samo, w tym samym momencie, ona myślała o nim. O jego muskularnych ramionach i twardym brzuchu. Szerokiej piersi i gęstych, sfalowanych włosach.

- Wiedzieli, co robią, gdy decydowali się na ciebie. - Nikt na mnie nie decydował się, nikt mnie nie wybierał - wyszeptała, czując, że



zachodzi w nim delikatna, a przecież zauważalna przemiana.

- Czy trafiłaś na ich ogłoszenie w gazecie?

- Oczywiście, że nie!

- „Poszukujemy młodej, pięknej, zmysłowej i inteligentnej kobiety.

Z gatunku tych, którym nie można się oprzeć”.

Czar chwili przysnął jak bańka mydlana. Jeremy sycił się teraz swoją nienawiścią. Lecz czy to było możliwe; aby po tym, czego przed chwilą wspólnie doświadczyli, mógł ją nienawidzić?

Dotknęła palcami jego ust.

- Przestań. Czy nie możemy o tym wszystkim zapomnieć?

- Zapomnieć? Lata udręki? Wyobraź sobie to piekło, przez które za życia przeszedł mój ojciec. I to brzemię winy, pod którym uginał się umierając.

- Wiem, że to nie było łatwe.

Wiedziała też, że powinna pozwolić mu o tym mówić. Inaczej ta sprawa stworzy pomiędzy nimi mur obcości i wrogości.

- O co cię pytali podczas pierwszego spotkania?

- O nic. Nie byłam wynajęta i opłacona. Który to już raz musiała zaprzeczać?

- A czy Hendricks próbował przespać się z tobą? Tego już było za wiele.

- Och, Jeremy! Jak możesz?

- Czy stawiałaś mu opór?

Nie odpowiedziała od razu, chcąc, aby zawieszony w powietrzu pytanie przemówiło do niego całą potwornością zawartą w nim zniewagi.

- Brian i ja byliśmy tylko przyjaciółmi. Opadł na plecy i utkwiał oczy w suficie.

- Przypuszczam, że nigdy ciebie nie pocałował. I nigdy nie kochał się z tobą. I nigdy nie usłyszał od ciebie miłosnego wyznania. To wszystko tylko przypuszczam.

- Nigdy nie wyszliśmy poza sympatię i przyjaźń.

- Ale całowałaś go?

- Tak.

- I zadowolili się tym? -Tak.

- Na głupca i łamagę to on mi nie wyglądał.

- Powiedziałaś ci już. Byliśmy przyjaciółmi.

- Myślisz, że zapomnę o tamtej nocy, gdy wtargnął do biblioteki, by bronić swoich praw do ciebie? I myślisz, że zapomnę wyraz jego twarzy, kiedy zobaczył cię w moich ramionach? To była twarz zazdrosnego kochanka.

- Był trochę pijany.

- To, co widziałem, nie było bynajmniej oznaką upojenia alkoholowego.

Była o krok od wybuchu. Jak pomimo wszystko zdołała powstrzymać gniew i zachować spokój, pozostało dla niej zagadką. Narzucało się zresztą pewne wytłumaczenie. Wytłumaczenie tak silną i gorącą miłością, że duma musiała podporządkować się jej.

- Cóż mam uczynić, żebyś mi uwierzył?

- To proste. Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Hendricksa.

- Nie wiem, gdzie on jest. -Mam w to uwierzyć?

- Tak. Bo to jest prawda.

- Dlaczego nie miałbym ci uwierzyć, ha? - Położył dłoń na jej gardle. - Przecież niedawno jeszcze uwierzyłem we wszystko, co mówiłaś.

Odsunął się od niej, wstał i sięgnął po koszulę. Patrzyła, jak ubiera się, poprzez zasłone z łez.

- Dokąd idziesz?

-Muszę wyjść, zanim zrobię coś takiego, czego później będę żałował. - Zatrzymał się z ręką na klamce, ale nie odwrócił głowy w jej kierunku. - Proponuję, abyś opuściła ten dom możliwie najprędzej. Kiedy bowiem wrócę i zastanę cię tutaj, mogę ponownie rozważyć swoje stanowisko.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Decyzję o pożegnaniu się z ptasim doktorem i jego pacjentami podjęła w jednej chwili, całkiem dla siebie nieoczekiwanie, już za miastem. Zresztą jej obietnica powrotu, jakkolwiek złożona w niezobowiązującej formie, w pewnym sensie wiązała ją. Pozostawał Jeremy i obawa, że zajdzie do chaty Eliego podczas jej obecności. Nie zniosłaby jeszcze jednego spotkania. Ale nawet gdyby zachowywał się jak angielski dżentelmen, to i tak nie chciała go widzieć. Może los tym razem okaże się dla niej łaskawy.

Zjechała więc na pobocze, upewniła się, że droga jest pusta, i zawróciła w stronę morza.

- Ależ to dla mnie już niemal środek dnia - powiedział Eli, witając ją na progu i ucinając jej przeprosiny, że zjawia się tak wcześnie.

- Czy sądzisz, że któryś z tych zatracieńców pozwoli mi spać dłużej niż do szóstej?

Mówił prawdę. Chata rozbrzmiewała najróżniejszymi ptasimi dźwiękami, które mogły oznaczać powitanie, radość, pogroźkę lub ostrzeżenie.

- Piękny dzień - zauważył, zerkając na niebo.

- Tak - przyznała. - Trudno uwierzyć we wczorajszą burzę i sztorm.

- Sztorm, tak. Wziął swoją daninę.

Wskazał ręką na nowych pacjentów, ofiary porywistego wiatru i wysokiej fali.

- Nie mogę zostać długo - powiedziała. Odchrząknął.

- Czy sprawy z naszym chłopcem ułożyły się pomyślnie?

- Obawiam się, że wręcz przeciwnie,

- A więc porzucasz to wszystko jak źle zaczęłą robótkę i wyjeżdżasz?

- Niekiedy ścieg jest tak poplątany, że lepiej faktycznie odrzucić nieudaną robótkę i zacząć nową - podchwyciła porównanie, nie chcąc wchodzić z Elim w konkrety.

Eli wyczuł jej rezerwę i nie narzucał się z pytaniami. Przez chwilę milczeli. Podczas tego obopólnego milczenia Melissa zrozumiała nagle, że oto ma niepowtarzalną okazję dowiedzenia się czegoś więcej o mężczyźnie, którego kochała i o którym będzie musiała zapomnieć.

Ale jeszcze nie teraz.

Zadała jedno, drugie, trzecie pytanie, zaś Eli chętnie na nie odpowiadał. Opisał początki ich przyjaźni, kiedy dwunastoletni Jeremy przyszedł do niego z gołębiem, którego uratował z rąk dwóch starszych chłopców. Nie obyło się przy tym bez bójk.

- Biedny chłopaczyna wyglądał tak żałośnie, że nie wiedziałem, komu najpierw udzielać pomocy, jemu czy ptakowi. A jak zalewał się łzami, kiedy gołąb umarł. Pochowaliśmy go na szczycie wzgórza w metalowym pudełku. Miał prawdziwy pogrzeb.

Eli wspomniał również o Kathryn. Ona i Jeremy znali się od dzieciństwa i byli bardziej jak brat i siostra niż mąż i żona.

- Była istotą piękną i delikatną. Prawdziwie zjawiskową. Jeremy robił wszystko, aby utrzymać ją przy życiu. Lecz kiedy jego wysiłki okazały się daremne, przeżywał jej śmierć, jak gdyby ją zawiódł.

Być może owo przeżycie upokarzającego fiaska w walce z chorobą i śmiercią ukochanej osoby wiązało Jeremy'ego silniej z Elim niż cokolwiek innego, pomyślała Melissa.

- A teraz - powiedział Eli, odsuwając krzesło - czas pożegnać się z naszymi przyjaciółmi.

- A jeśli znów będzie padało? - zapytała.

- Jesteśmy pod tym względem bardzo do siebie podobni. Charakteryzuje nas ta sama pomysłowość w wynajdowaniu pretekstów, by zatrzymać ich jeszcze jeden dzień.

Pierwsza z klatki została wypuszczona Illona, ale wahała się z odlotem. Usiadła na pobliskiej skale, jak gdyby na coś czekała. Natomiast Murphy nie miał żadnych skrupułów. Wzbił się prawie pionowo w górę i szybko zniknął z oczu.

Melissie zrobiło się żal odtrąconej i porzuconej Illony. Czy ptaki również doświadczają bólu złamanego serca?

- Spójrz tam! Czy widzisz, dziewczyno? - wykrzyknął nagle Eli podnieconym głosem, Illona, która sfrunęła przed chwilą ze skały na piasek, nie była już sama. Dołączył do niej inny ptak z gatunku mew. Trzymał w dziobie rybę, którą, widzieli to wyraźnie, proponował Illonie.

- Wrócił,

- Ale skąd wiesz, że to Murphy? Wszystkie one wyglądają tak samo.

- To on, na pewno. Patrz. A teraz ona udaje skromniśkę. Uprawiają tę samą grę erotyczną co my, ludzie. Bo ostatecznie ten ślędz w jego dziobie znaczy dokładnie to samo, co brylantowy pierścienek ofiarowywany przez chłopca dziewczynie.

- Och, Eli - powiedziała kpiarskim tonem. - Może też znaczyć, że ona po prostu jest głodna.

Eli zmrużył oczy. Melissa też zmrużyła swoje. Patrzyli pod słońce, jak oba ptaki, zgodnym rytmem skrzydeł, wzbijają się ku niebu i odfruwają w dal ponad wodę.

Na nią też był czas. Robiło się późno, a czekała ją daleka droga. Eli wyciągnął rękę na pożegnanie, lecz ona pocałowała go w oba policzki.

- Do widzenia. Nigdy o tobie nie zapomnę. - Jasne, że nie. Przecież spotkamy się niebawem.

- Obawiam się, że jest to mało prawdopodobne. W jego oczach pojawił się tajemniczy błysk.

- Zobaczymy się jeszcze.

Aby oderwać się od niewesołych myśli, podczas jazdy włączyła radio, a wybrawszy program informacyjny, słuchała nowin i nowinek ze świata. Spikerzy mówili o wojnach, tornadach, podatkach, pięcioraczkach, urodzaju zbóż, upadkach rządów i zbrodniach. Świat okazał się zarazem ciekawy, okrutny i nie do ogarnięcia. Kiedy ujrzała przedmieścia Albany, miała wrażenie, że budzi się z jakiegoś snu czy transu.

W pewnym momencie skręciła w ulicę, która bynajmniej nie prowadziła do jej domu. Była tam tylko raz, w dniu, w którym

wyjechali do Sandgate, lecz pamiętała drogę i bez trudu odnalazła kamienicę w zaułku ocienionym wiązami.

Zapukała do drzwi na pierwszym piętrze. Z początku nikt nie odpowiadał i chciała już odejść. Kiedy zaś Brian otworzył, minęła go, nie pytając o pozwolenie wejścia.

- Dlaczego? - zapytała.

- Dlaczego? - Szybko ochłonął ze zdumienia. - Forsa, kotku, forsa. To ona jest motorem naszych działań.

Spojrzała na jego szlachetną, chłopięcą twarz. Nikt by się nie domyślił, że ten przystojny mężczyzna jest najzwyczajszym oszustem.

- Tyle kłamstw dla pieniędzy!

- Pieniądze znają też zbrodnie. Ale pozwól, że rozmawiając z tobą będę się pakował. Jeśli ty mnie odnalazłaś, to murowane, że niebawem pojawi się tu York lub ktoś opłacony przez niego. Natalie już się ulotniła.

Melissa przeszła za nim do sypialni, gdzie na łóżku leżały dwie skórzane walizy, a wszystkie szafy i szuflady były otwarte.

- Dlaczego nie uciekliście razem?

- Mielśmy, powiedzmy, drobną sprzeczkę. - Włożył do jednej z waliz starannie złożone koszule. - Czy przysłaś z czymś konkretnym?

Tak, przysłała z konkretnym pytaniem, on zaś odpowiedział na nie wyczerpująco i szczerze

- Kiedy ten skurwiol, Harold York, zaproponował Natalie wcale okazałą sumkę za zniknięcie z Sandgate, była w ciąży z jego synalkiem. Warunki starego były jednoznaczne: będzie płacił na dziecko do jego pełnoletności, ale Jeremy nie może nigdy dowiedzieć się o istnieniu potomka. Natalie poroniła w trzecim miesiącu. Niebawem wyszła za Larry'ego Kerra, faceta miłego, lecz biednego jak mysz kościelna. Kiedy urodziła się im córka, Nat zrobiła sztuczkę z datą urodzenia i kazała wierzyć staremu Yorkowi, że Jean jest jego wnuczką. Nie było to trudne. Stary nie przywiązywał wagi do szczegółów i z pewnością nie zamierzał nosić w portfelu zdjęcia



słodkiego maleństwa.

- Ale czy nie byłoby prościej i zarazem bezpieczniej wziąć do Sandgate prawdziwą Jean?

Wyjął jedną z szuflad i wyrzucił jej zawartość na łóżko.

- Kiedy dziewczyna dowiedziała się o naszej niewinnej w gruncie rzeczy intrydze, zareagowała, jakbyśmy co najmniej planowali obalenie rządu. Spakowała ma-natki i przeniosła się do ojca, rzucając na odchodnym, że nie chce znać swojej matki.

- Ty nie jesteś bratem Natalie, prawda?

- Zaiste, nie. Spotkaliśmy się niedługo po tym, jak Nat i Larry zdecydowali się rozstać: Prawdziwy brat żyje gdzieś w Kalifornii. Mówią, że jestem do niego podobny.

- I oczywiście nie poczuwasz się do winy za tę całą maskaradę, która mogła doprowadzić do autentycznej tragedii?

- Mam żałować Yorków? Dlaczego nie mieliby podzielić się ze mną swoimi pieniędzmi? Wzniesli się przecież na szczyt bogactwa po barkach zwykłych ludzi, takich jak ty lub ja.

Było jasne, że Brian, czy kimkolwiek był ten człowiek, nigdy nie pojmie, iż czynił źle i niegodnie. Wszelka dalsza rozmowa z nim nie miała już sensu.

Melissa skierowała się ku drzwiom, lecz zabiegł jej drogę. - Chwileczkę, kotku. Na wypadek, gdybyś chciała teraz pojechać na policję, pamiętaj, że twoja siostrunia zainkasowała z góry zapłatę czekiem za swoją rolę. Jej świadomy współudział nietrudno będzie udowodnić.

Melissa potrząsnęła głową.

- Wydawałeś mi się czarującym człowiekiem.

- Bo jestem czarujący.

- I całkiem pozbawiony honoru.

- Za honor i pół dolara mogę kupić filiżankę kawy. Wyszła, pozostawiając go z szyderczym uśmiechem na twarzy.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Albany buchało upałem, kiedy Melissa opuszczała miasto, i skwierczało w spiekocie, kiedy do niego wróciła.

W skrzynce nazbierało się trochę listów i rachunków. Trawa na trawniku podrosła, a w kątach tu i ówdzie pojawiły się pajęczyny. Wyczuwało się lekką stęchliznę długo nie wietrzonych wnętrz.

Melissa otworzyła okna i zajęła się korespondencją. Potem zaczęła rozpakowywać się, ale każdy swój ruch odczuwała, jakby miała zawieszony u ramion kilogramowe odważniki. Przerwała więc rozwieszanie ubrań i zapatrzyła się na różaną rabatę w ogródku.

Kiedy zadzwonił telefon, postanowiła nie podnosić słuchawki. Dopiero po pewnej chwili przyszła jej do głowy myśl, że może to być Arlene. I to była Arlene.

Spędzali miodowy miesiąc w Connecticut, osiemdziesiąt kilometrów od Sandgate. Pływali, żeglowali, grali w tenisa i w ogóle cieszyli się każdą sekundą i minutą z sobą.

- Czy widziałaś Jeremy'ego? - zapytała Melissa.

- Nie. Todd dzwonił do domu i rozmawiał z nim. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Zresztą Jeremy może być przykry dla ciebie.

Ale siostra nie słuchała. Gdzieś tam się spieszyła.

- Zjawię się w Albany w piątek późnym popołudniem. Todd również. Byłoby cudownie, gdybyś kazała nastroić fortepian.

- Postaram się.

- I przystrój czymś dom. Może naścinaj róż i zapełń nimi wszystkie wazon.

- Zrobię, co tylko będę mogła.

- I jeszcze jedna rzecz. Zacałowałam cię na śmierć, gdybyś przygotowała obiad. Coś, co można podgrzać, na wypadek, gdybyśmy się spóźnili. Pomyśl nad jakimś specjałem.

- A może zamówić jeszcze orkiestrę dętą? - rzuciła Melissa w ciszę słuchawki, gdy Arlene, egoistka, jak wszystkie szczęśliwe oblubienice, rozłączyła się.

Broniąc się przed napływem melancholii, Melissa wróciła do sypialni, by wybrać brudne rzeczy do prania. Wrzuciła je do specjalnego worka i zawiozła do pralni. W drodze powrotnej wstąpiła do sklepu z farbami, tapetami i przyborami malarskimi. Arlene prosiła o przystrojenie domu i zaproponowała kwiaty. Melissa pomyślała o czymś innym. Jadalnia i salon już od dawna wymagały odnowienia. Dlaczegoż by więc przyjazdu młodej pary nie potraktować jako pretekstu do pomalowania ścian na biało, w miejsce tego okropnego brązu i indygo? Optycznie powiększyłyby to oba pokoje i uczyniło je o niebo miłszymi.

- Jesteś niespożyta, Melisso - powiedziała Marcia Hanning, jej sąsiadka i zarazem przyjaciółka, na widok kubełków z farbami i pędzli, które Melissa taszczyła z samochodu do domu. - A czy kupiłaś też to cudo do malowania rogów, które ostatnio reklamują?

- Nie. Poradzę sobie pędzlem. Zresztą zamierzam odnowić tylko dwa pokoje.

- To przynajmniej nie zapomnij posmarować twarzy i ramion grubą warstwą kremu. Łatwo wówczas zmyć farbę.

Melissa podziękowała za radę, do której, znając praktyczność przyjaciółki, obiecała się zastosować, i od razu zabrała się do roboty.

Zabezpieczyła folią meble i podłogi, przebrała się w roboczy kombinezon, wypacykowała kremem i rozstawiwszy drabinę chwyciła za pędzel.

Z początku praca szła szybko i sprawnie. Stare kolory metr po metrze ginęły i w ich miejsce pojawiała się nieskazitelna biel.

Melissa nie uwzględniła jednak w planie upalnego popołudnia. Rozgrzane powietrze było tak gęste, że niemal namacalne, a nieprzyjemny zapach farby dodatkowo utrudniał oddychanie. Prędko też dało o sobie znać ogólne zmęczenie związane z kilkugodzinną podróżą. Coraz więcej farby skapywało na twarz, ramiona i ubranie Melissy. Coraz też dłuższe robiła odpoczynki.

Podczas jednego z takich oczekiwań na napływ nowych sił usłyszała pukanie do drzwi.

- Otwarte. Proszę wejść! - odkrzyknęła, schodząc z drabiny.

Dzięki Bogu! To musiała być Marcia, a tak czy owak oznaczało to oderwanie się na jakiś czas od wyczerpującego machania pędzlem.

Jednak nie była to Marcia, tylko Jeremy York we własnej osobie.

- Melissa? - zapytał z wahaniem w głosie, jak gdyby nie był pewien tożsamości usmarowanej na biało osóbkę.

- Idź sobie! - Machnęła ręką w stronę wyjścia. - Jak mnie odnalazłeś?

- Todd znał adres swojej żony, który jest przecież też twoim adresem.

- Trzeba było poszukiwać mnie w kartotekach policyjnych, w grupie szczególnie groźnych przestępców.

Spojrzał na ściany pokoju i efekty jej dwugodzinnej pracy.

- Nie obędzie się bez drugiej warstwy. Inaczej stara farba będzie przebijała.

- A co? Znasz się na malowaniu? Przecież bierzesz za telefon i po kwadransie zjawia się u ciebie cały batalion malarzy pokojowych.

Była dumna ze swojej odpowiedzi. Żadnych więcej łez, tylko zdecydowana, twarda obrona.

- Czy mogę usiąść?

- Jeśli chcesz się ubielić, to proszę bardzo.

- Więc może w kuchni?

- Drzwi są tam.

- Myślałem o nas obojgu. Chcę porozmawiać.

- Stojąc też można rozmawiać. Zresztą muszę dokończyć dzisiaj to, co zaczęłam.

Potał dłońią czoło.

- Nie z myślą o takiej rozmowie przyjechałem tu z Sandgate.

- A po co konkretnie przyjechałeś?

- By zwrócić ci pewną rzecz, której zapomniałaś zabrać ze sobą.

Otworzył trzymane w ręce pudełko i wyjął z niego szklany przycisk do papierów.

- Nie chcę go. -Dlaczego?

- Budzi zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień.

- A może również tych przyjemnych?

- Niech je piekło pochłonie!

Postąpił ku niej krok, lecz ona gwałtownie cofnęła się, a chwyciwszy pędzel, zasłoniła się nim niczym szpadą.

-Zostań tam, gdzie stoisz, koleś!

Roześmiał się i uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Gdybym miał wobec ciebie jakieś złe zamiary, ten pędzel, maleńka, nie powstrzymałby mnie. Poza tym oboje wiemy, że nie przyjechałem tu tylko z powodu tego przycisku.

Potrząsnął szklaną kulą i położył ją na stole. Melissa spojrzała uważniej. Coś tutaj się nie zgadzało. Śnieg prószył nie tylko na dom i drzewa, lecz również na dziecko w czerwonej czapeczce na głowie, którego przedtem nie było.

- To nie jest mój przycisk. Potarł palcem koniuszek nosa.

-Miałem nadzieję, że nie zauważysz. Twojego już nie ma.

- Jak to nie ma?

- Nie byłem w najlepszym humorze i roztrzaskałem go o ścianę.

Kupiłem podobny,

- Chyba nie oczekujesz podziękowań z mej strony?

- W ogóle nie wiem, czego oczekuję.

Pogładził szklaną kulę czułym gestem. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Zaraz jednak zdumienie ustąpiło miejsca podejrzliwości.

- Tego przycisku wcale nie kupiłeś, prawda?

- Nie. Należał do mojej babki. Chcę, żeby odtąd był twoją własnością.

- W takim razie nie mogę go przyjąć. Należy do twojej rodziny.

Uniósł dłoń do karku i zaczął go masować. Mogła go boleć szyja, lecz równie dobrze gest ten mógł oznaczać uczucie zawodu.

- Może ty również. Nie zrozumiała.

- Co ja również?

- Należysz do mojej rodziny.

- To wiem. Przecież bądź co bądź jestem siostrą twojej bratowej. A teraz, skoro ustaliliśmy więzy nas łączące, pozwól mi dokończyć rozpoczętą pracę.

Z ciężkim westchnieniem odwrócił się ku drzwiom, ale zrobił

tylko jeden krok.

- Przeżywałem męki, odkąd wyjechałaś. Świadomość, że to ja cię przepędziłem, nie dawała mi spokoju. Chciałem powiedzieć ci, że przeszłość się nie liczy, Zdecydowany jestem o wszystkim zapomnieć. Nic z tego, co wydarzyło się, nie może być odtąd przedmiotem roztrząsania, wymówek, pretensji.

Widziała teraz jego plecy, ramiona i włosy lekko kręcące się na karku. Poczuła się uwolniona z potrzasku jego hipnotycznego spojrzenia. Ale z tym większą siłą doznała przejmującego uczucia bólu miłości. Aż zdumiało ją, że można równocześnie tak bardzo kochać i atakować z wściekłością tę samą osobę.

Jeśli Jeremy wciąż wierzył w świadomą próbę oszustwa z jej strony, a wszystko wskazywało na to, że wierzył, to ich wzajemny stosunek pozostałby tak czy inaczej tylko grą pozorów. Zwykłą namiastką.

- To wielce szlachetnie z pana strony, panie York, że zdecydowany jest pan mi wybaczyć. Z tym że nie zrobiłam niczego, co wymagałoby wybaczenia. Twój ojciec zaczął płacić Natalie, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Czy uważasz mnie za współniczkę w tamtym oszustwie?

- Przecież nie powiedziałem, że...

- Kiedy zdecydowałam się towarzyszyć mojej siostrze do Sandgate, nic nie wiedziałam o tym, że para hochsztaplerów nosi się z zamiarem wmówienia ci, że Jean jest twoją córką. Nawiasem mówiąc, ojcem córki Natalie jest Larry Kerr.

- Wiem. Odnalazłem go i widziałem się z prawdziwą Jean.

Zdecydowana wyjaśnić wszystko do końca, Melissa opowiedziała całą historię swojego wyjazdu do Sandgate.

Jeremy z początku próbował jej przerywać, lecz kiedy podnosiła głos nie dając dojść mu do słowa, chcąc nie chcąc wysłuchał jej szczegółowej relacji.

- Wiem już to wszystko od Todda - powiedział, gdy zamilkła. - Jego zaś wtajemniczyła Arlene zaraz na początku ich znajomości, by następnie zażądać przysięgi na dochowanie sekretu.

No tak! Arlene śmiało można byłoby powierzyć supertajne



dokumenty Pentagonu,

- Więc teraz już mi wierzysz? - zapytała.

- Ufam d bezgranicznie - odparł z uśmiechem ulgi na twarzy.

- Ponieważ moją wersję potwierdza wersja Todda, czy tak?

- Na miłość boską! Co chcesz, żebym d powiedział? Że kocham cię?

Gzy muszę o tym krzyczeć na głos, skoro i tak to wiesz? Zapadłaś w moje serce i umysł tak głęboko, że nikt i nic nie jest już w stanie cię stamtąd usunąć.

- Ale próbowałeś to zrobić?

- Tak, próbowałem. Widzisz zresztą, z jakimi rezultatami. -

Rozłożył ręce w geście, którym podkreślał fiasko swoich wysiłków. -

A teraz chciałbym, żebyś odłożyła ten pędzel, przebrała się i pojechała ze mną na obiad do jakiejś restauracji. Prawdę mówiąc, nigdy nie spędzaliśmy ze sobą czasu w sposób cywilizowany. Zawsze to były jakieś dzikie ekscesy w dzikiej scenerii. I nigdy ze sobą tak naprawdę nie rozmawialiśmy. A myślę tu o rozmowie wpływającej z serc.

Z jaką łatwością i spokojem mówił o miłości. A przecież w każdej chwili mógł wybuchnąć gniewem lub okazać zniecierpliwienie. Teraz odkrył swe wnętrze, by już jutro, być może, zatrzaskać się na głucho i wyjechać do tego swojego Sandgate.

Uklękała i zaczęła mieszać farbę.

- Doceniam twoją propozycję, ale muszę skończyć przynajmniej ten pokój.

- Doceniasz? Czyżbyś nie słyszała ani jednego mojego słowa?

- Słyszałam i...

- I z pewnością doceniasz to, co powiedziałem. - Potrząsnął głową, jak gdyby chciał się wyrwać z jakiegoś zamroczenia. - Czy to wszystko, co mogę od ciebie usłyszeć?

Wpatrywała się w farbę niczym w magiczne lustro.

- A cóż mam jeszcze dodać?

- Przypuszczam, że nic. Tylko że nie można skazywać na śmierć człowieka za błąd wynikły z głupoty. - Stał przez chwilę w milczeniu, jak gdyby chcąc dać jej szansę na zmianę stanowiska. - A więc żegnaj,

**Melisso Brandon.**

To naprawdę wyglądało na ostateczne rozstanie, ona zaś okazała się tylko głupią i słabą kobietą, jeśli pozwoli mu odejść. Szansa, że znajdzie drugiego takiego Jeremy'ego, równała się szansie znalezienia perły w sałatce z pomidorów w barze na rogu.

- Jest jeszcze inne rozwiązanie - powiedziała. - Pomożesz mi w malowaniu, szybko skończymy, a później wybierzemy się na ten obiad.

- Chcesz zaprząć mnie do roboty? - zapytał z uśmiechem, który kiedyś, na początku ich znajomości, wydawał się jej arogancki.

- O ile oczywiście czujesz się na siłach jej podołać. Udał, że intensywnie rozważa tę kwestię.

- Sądzę, że podołam. Pozostaje pytanie: co dostanę w zamian? Lekko się zarumieniła.

- Porozmawiamy o tym później.

- Powinnaś wiedzieć, że York nigdy nie załatwia spraw w ten sposób. - Zbliżył się do niej. - Chcę porozmawiać teraz.

Tylko siłą woli powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona.

- Mogę dać ci robocze ubranie ojca. Zapewne będzie trochę za...

Uciszył ją pocałunkiem.

- Uważaj, pobrudzisz się - szepnęła, tuląc się do niego z całą żarliwością swojej miłości.

- Dość zajmowania się ubraniami. Nie potrzebujemy ich.

- Byłoby to bardzo niepraktyczne. Przeciwnie. Zaoszczędzilibyśmy na pralni.

- Ale stracilibyśmy dużo czasu na oskrobywanie się z farby

- W tym właśnie byłaby cała przyjemność.

- Ty nieskromny chłopaku - powiedziała, częstując go kuksańcem, by następnie zarzucić mu ramiona na szyję.